EPOKA

TYGODNIK

ROK I | Warszawa, 27 listopada 1932 R. | NR. 9

Sensacyjny reportaż szkolny

Snobokracja

Autonomja wyższych uczelni

W walce z litością

Konflikty sumienia

Wydarzenia i dokumenty. Odgłosy. Przegląd polityczny. Przegląd gospodarczy. Listy do „Epoki".

AUTORZY: STRZELECKA, BREITER, WIDZ, REISLER, MILKIEWICZOWA, KMITA, RUSINEK

C

Cena egz. gr. 60

WYDARZENIA I DOKUMENTY

NIE SŁYSZAŁ...

W procesach politycznych wybitną rolę grają, jak wiadomo, wywiadowcy w charakterze świadków. W kilku procesach ujawnił się niewiarogodny poziom umysłowy tych osobników. Niektórzy z nich nic nie rozumieją, nie orjentują się w niczem, o sprawach i zagadnieniach politycznych nie mają najmniejszego pojęcia, chociaż wydają śmiałe w tej mierze opinje.

W łódzkim procesie P.P.S. lewicy zeznawali kilka dni temu wywiadowcy, którzy obserwowali kongres tej partji, zaglądając do sali przez otwory wentylacyjne na dachu. Jeden z oskarżonych zwraca się do wywiadowcy-świadka:

— Świadek mówił w swoich zeznaniach o Marksie i Kautsky'm. Czy świadek wie, kto to jest Kautsky?

Odpowiedź:

— To był jakiś Węgier... Teoretyk...

Inny wywiadowca zeznaje, że słyszał na kongresie o kontakcie P.P.S.-lewicy z K.P.P.

Przewodniczący: Czy mówiono o tem wyraźnie?

Świadek: Nie, ale jak się mówi o kontakcie, to wiadomo, że chodzi o komunistów. Słyszałem, że mówili o pięciu kontaktach, trzech stałych i dwóch niestałych.

Przewodniczący: Czy świadek nie wie, o co chodziło?

Świadek: Nie, ale domyślam się, że o komunistów. Komuniści zawsze coś mówią o kontaktach.

Oskarżony: Czy świadek czytuje jakieś pisma?

Świadek: Nie.

Oskarżony: Świadek nie czyta ani „Gazety Polskiej", która jest organem rządowym, ani „Robotnika", mimo, że jest urzędnikiem służby politycznej?

Świadek: Jak mam czas, to czytam.

Oskarżony: I nie spotykał się świadek nigdy z terminem „kontakt". Przecież to jest bardzo popularny wyraz. Mówi się, naprzykład, przed wyborami, o kontakcie między wyborami a szerokiemi masami.

Świadek: Ja nie słyszałem.

NIEWŁAŚCIWE INTERWENCJE

Po każdej awanturze studenckiej, podczas której bije się Żydów i tłucze się szyby wystawowe, czytamy steretypową wiadomość, że pp. rektorzy interwenjują u władz policyjnych w sprawie wypuszczenia na wolność aresztowanych studentów.

Jeszcze możnaby to zrozumieć i uznać, gdyby chodziło o drobne zakłócenie spokoju publicznego. Ale po wyczynach *kryminalnych* interwencje takie nie godzą się z zasadą praworządności, która nie zna uprzywilejowanych przestępców.

ZŁA TRADYCJA

Rząd hiszpański wydał ostatnio zakaz uczestniczenia w walkach byków amatorom, czyli t. zw. „Espontaneos". W mniejszych miastach hiszpańskich zdawien dawna było w zwyczaju, iż w najgorętszym momencie „corridy" nieoczekiwanie rzucał się na arenę któryś z widzów, by się popisać swą rzekomą odwagą i zręcznością. Zaznaczyć należy, iż występy „Espontaneos" rzadko kiedy kończyły się śmiercią, czy nawet raną człowieka, a polegały jedynie na umiejętnem znęcaniu się nad bykiem, przy jednoczesnem odciąganiu chwili jego śmierci. Zazwyczaj w tych „rycerskich" zapasach byk padał ze zmęczenia, lub wskutek upływu krwi po parogodzinnej walce z tuzinem „Espontaneos", z torreadorem i orszakiem jego zawodowych „rycerzy" na koniach.

Prowincjonalna prasa hiszpańska przyjęła z oburzeniem dekret rządu, jako nowy zamach na „odwieczne tradycje narodu". Należy się spodziewać, iż rząd republikańskiej Hiszpanji nie weźmie sobie zbytnio tych protestów do serca, a przeciwnie, zupełnie zakaże urządzania bezmyślnych i wstrętnych widowisk „corridy", wychodząc z założenia, iż „odwieczną tradycją narodu" hiszpańskiego była także jego smutnej pamięci monarchja. Najwyższy już czas, by w młodej Republice ustały zupełnie walki byków, będące smutną pamiątką parowiekowej niewoli Hiszpanji w pętach zacofania i „tradycyjnej" martwoty psychicznej.

»WYCZERPANA KONSTYTUCJA«

Symboliczne wydarzenie miało miejsce w Ameryce. Przed kilku tygodniami redakcja pewnego pisma nowojorskiego zwróciła się do Departamentu Stanu w Waszyngtonie z prośbą, o przesłanie jej urzędowego wydania konstytucji Stanów Zjednoczonych. Po kilku dniach redakcja została powiadomiona, że prośba jej została skierowana według właściwości do dyrektora Urzędu Dokumentów, Państwowych w Waszyngtonie, gdyż Departament Stanu nie posiada egzemplarzy konstytucji, przeznaczonych na sprzedaż.

Wkrótce potem dyrektor Urzędu Dokumenntów Państwowych zawiadamia nowojorską redakcję: „Zwracam nadesłane na porto znaczki i komunikuję, że żadnego egzemplarza nadesłać nie mogę, gdyż *konstytucja została wyczerpana*".

Urzędowy ton waszyngtońskiego urzędnika daleki jest do humorystycznej treści. Jednakże dowcipny redaktor podaje tę groźną wiadomość do publicznej wiadomości i uzupełnia ją oświadczeniem: „Prosimy nie mieć do nas urazy, jeśli będziemy postępować niezgodnie z konstytucją: nie znamy jej, bo „została wyczerpana".

SENSACJA LONDYNU

Wielką sensację w Anglji wywołało ogłoszenie nowego „kodeksu bridżowego". A więc nie „marsz bezrobotnych na Westminster", nie sprostowanie pogłosek o zaręczynach ks. Jerzego ze szwedzką księżniczką, nie ograniczenie przywozu bekonów, lecz ogłoszenie nowych przepisów gry w bridge'a poruszyło do głębi społeczność londyńską. Prasa przeładowana jest wiadomościami i wyjaśnieniami w sprawie zmiany przepisów bridżowych, pisma zapełniają szpalty listami czytelników o bridżu, w nowej formie, redakcje zapowiadają ogłoszenie obszernych i dokładnych komentarzy.

Stała sie bowiem rzecz doniosła: oto londyński Portland Club, nowojorski Whist Club i paryska Commission Francaise du Bridge postanowiły ujednostainić dość rozbieżne dotąd reguły gry. Wydały wspólny „kodeks bridżowy", obowiązujący — dokładnie — od dn. 7 listopada. „Historyczną" tę datę notują nie bylejakie piśmidełka, lecz tak poważne organy prasy, jak „Times", „Morning Post" i „Observer".

ZMIERZCH »KONIA PAROWEGO«

W sprawozdaniu kwartalnem domu bankowego Leu et Cie w Zurychu znajduje się charakterystyczny rozdział o kryzysie w kolejnictwie. Autor rozróżnia tutaj wyraźnie bezpośrednie skutki kryzysu światowego od kryzysu strukturalnego, jakim dotknięte jest kolejnictwo. Kolejnictwo znajduje się dzisiaj w okresie rozpoczynającego się upadku dzięki niepowstrzymanemu rozwojowi techniki i konkurencji ze strony przemysłu automobilowego oraz lotnictwa. Pod koniec swych rozważań autor pisze:

„Minął już dzisiaj czas nowych wielkich inwestycyj w kolejnictwie. Nie opłacają się one zarówno, gdy chodzi o linje istniejące, jak i nowe, projektowane. Konjunktury kolejowe takie, jakich były świadkiem ubiegłe dziesięciolecia, zakończyły się dla świata gospodarczego europejsko - amerykańskiego bezpowrotnie. Zmierzch wieku „konia parowego" już następuje".

»CZARNA SPRAWA«

„Czarna sprawa", jedno z podstawowych „zadań do rozwiązania" dla młodego narodu Stanów Zjednoczonych A. P. w chwili obecnej bardziej niż kiedykolwiek dopomina się głosu i żąda załatwienia. Dwunastomiljonowa czarna ludność Ameryki, czyli dziesięć procent ogółu mieszkańców, dążąc z południa zalewa stany środkowe i z roku na rok coraz się bardziej rozprzestrzenia na północy. Jeśli zważymy, iż obok pokaźnego odsetka przedstawicieli rasy żółtej, biali mieszkańcy Stanów Zjednoczonych dzielą się na cały szereg grup narodowościowych zwalczających się nawzajem, zrozumiemy wówczas, iż mają powód do obaw ci socjolodzy amerykańscy, którzy przepowiadają rychły „pogrom białych" przez wzrastającą nieustannie, skonsolidowaną i solidarną czarną ludność.

Ekspansja rasy czarnej na północ przybiera istotnie duże rozmiary. Prawie wszystkie większe miasta dawnej Nowej Anglji posiadają swoje „czarne gminy", liczące po kilkadziesiąt, a nierzadko po kilkaset tysięcy mieszkańców. Od czasów wstrzymania immigracji z za oceanu, czyli zaledwie od paru lat, stan posiadania czarnej rasy wzrósł kilkakrotnie, daje się także zauważyć ogromny przyrost ludzi z wyższem wykształceniem wśród czarnych, którzy obok prądu samokształcenia ulegli ostatnio procesowi zrzeszania się w przeróżne korporacje, stowarzyszenia związki.

Obserwując to zjawisko, socjologowie amerykańscy nawołują biała ludność do zbliżenia się ku murzynom, do zawierania mieszanych małżeństw, do tworzenia wspólnych warsztatów pracy i ośrodków wzajemnej wymiany myśli. Biały tłum nie stosuje się jednak do powyższych wskazówek i całkiem odmienne zajmuje stanowisko w stosunku do „czarnego niebezpieczeństwa". Okrutne prawo Lyncha stosowane jest względem murzynów coraz częściej i nierzadko bez żadnych poważniejszych wykroczeń ze strony czarnych skazańców. Opanowana przez żywiołowy „czarno - wstręt" biała część społeczeństwa amerykańskiego podawnemu nie uważa murzyna za człowieka, nie chce spotykać się z nim w wagonie, w teatrze, w jadłodajni, przy pracy, w domu, na ulicy, nigdzie. Stąd „czarne dzielnice" nie odwiedzane przez białych, a jakże podobne do żydowskich, czy robotniczych dzielnic w miastach Rosji przedrewolucyjnej!....

REPORTAŻ SZKOLNY

Dzisiaj właśnie w ciszy i w skupieniu obchodzę pięcioletni jubileusz moich... walk o odciążene programów szkolnych od tych wszystkich dziwolągów, które ładowane w młode mózgi, sprawiają, że t. zw. przyszłość narodu po ukończeniu szkoły średniej, odwraca się naogół z obrzydzeniem od wszystkiego, co ma jaki taki związek z literaturą, historją, i inną wiedzą bądź humanistyczną, bądź ścisłą. Profesorowie wyższych uczelni skarżą się na bardzo słabe przygotowanie i niski poziom swoich słuchaczów, abiturjentów szkół średnich; zdarzają się wypadki i to całkiem częste, że owa „przyszłość narodu" odnosi się nietyle z nonszalancją, co z ignorancją do ortografji.

Ostatecznie możnaby to potraktować z pobłażaniem, gdybyśmy byli pewni, że zapał do wiedzy jest wśród tej młodzieży tak wielki, iż podniecona rozkoszą dociekań, na drobne szczegóły uwagi nie zwraca. Właśnie. Zapał do wiedzy! Przeglądałam przed kilkoma dniami dowody owego rozpalania entuzjazmu dla wiedzy na lekcji języka polskiego. — Były to zeszyty, notatki, rysunki, mapy, albumy i t. d. Mając to wszystkoprzed oczami, zastanawiałam się poco nasze dzieci wydają na początku roku po kilkadziesiąt złotych na podręczniki? Wszakże przy dzisiejszej metodzie prowadzenia lekcji, uczniowie muszą notować, do podręcznika całemi tygodniami nie zaglądają. Zrozumiałam również, dlaczego rysunki przestały być przedmiotem obowiązującym. Przecież do odrabiania lekcji, naprz. języka polskiego, potrzebny jest zeszyt rysunkowy, kredki, ołówki. A jakże! W klasie piątej przy studjach nad Iljadą rysuje się co tylko można od profilu Homera począwszy, na pięcie Achillesa skończywszy. Lepi się również w plastelinie, modeluje w drzewie wszelaki sprzęt domowy i wojenny. Rysuje się drzewa genealogiczne herosów, wykreśla na mapach historję miast. Tak, tak! Jakże tu się dziwić, że rysując, rzeźbiąc, modelując, lepiąc i wykreślając lekcję języka ojczystego, młodzieniaszek nie ma czasu na przejmowanie się subtelnościami ortografji? A zresztą tematy wypracowań już w klasie czwartej są tego rodzaju, że trzynastolatek, zastanawiając się w wypracowaniu nad uczuciami osobistemi, jako motywem zbrodni w „Ogniem i Mieczem" (tytuł wypracowania „Uczucie osobiste, jako motyw zbrodni w „Ogniem i Mieczem"), tak wytęża swój młodziutki umysł, aby tego rodzaju essay spłodzić, albo skądsiś, z jakiegoś studjum o Sienkiewiczu ściągnąć, że doprawdy ortografja mu nie w głowie. Albo kiedy rozważa „Znaczenie rozmowy w karczmie u Dopuły".

Moi młodzi znajomi pisali to wypracowanie w klasie w dzień pogrzebu por. Żwirki i St. Wigury — owo zestawienie przypadkowe napozór jest w istocie rzeczy wysoce znamienne, nasuwające mnóstwo asocjacji — i refleksji na temat oderwania dzisiejszej szkoły od życia. Utwierdziła mnie w tem mniemaniu rozmowa z profesorem — polonistą. Zapytywałam właściwie, poco studja nad „Ogniem i Mieczem" trwają bite półrocze szkolne, poco poświęca się tyle czasu na zaznajamianie się z tą najokropniejszą bodaj epoką historji ojczystej. Otrzymałam skondensowaną odpowiedź: „Nie znam powieści, ani epoki, która byłaby lepszą szkołą charakterów, a w myśl nowych prądzw pedagogicznych, przedewszystkiem do kształcenia charakterów naszej młodzieży dążyć należy". Punctum. Ani dodać, ani ująć.

Dwie czy trzy postacie, jakże już dzisiaj odległe od naszych pojęć o wartości człowieka, wśród olbrzymiej masy szlacheckiej, która jako społeczeństwo była ponurością nad ponurościami — oto według profesora szkoła charakterów. I jakie wnioski? W klasie, do której nie dochodzi nic z zewnątrz, w klasie, w której mówi się o Dopułach, Bohunach, czy Wiśniowieckich, o ataku husarji pod Beresteczkiem, nie bije niczyje serce na wspominki o tych czasach.

Nie wzrusza tej młodzieży to, co było ongi, a co jest tak przenudnie podane, tak męcząco przeżute, nie wzrusza ich ani klasycyzm, ani romantyzm. Nie troszczą się o to „jakiż to chłopiec piękny i młody, jakaż to obok dziewica". Ich romnatyzm — to rozpiąć żagiel na owej Świtezi, przepłynąć jezioro kajakiem, czy łodzią, zobaczyć na własne oczy cud Nowogrodzkiej ziemi, ale nie patrzeć na nią przez mętne, spotniałe okulary pana belfra, który im przecież tak uporczywie, a gruntownie wszelkie romantyzmy obrzydza. Ich romantyzm, to lot do stratosfery, czy marzenie o zwycięstwie w chalenge'u, czy widzenie biało-amarantowego sztandaru powiewającego w Los Angeles na podziw całego świata; ich romantyzm, to marzenie skonstruowania nowego R. W. D., budowa tylu nowych dróg i mostów.

Ich stosunek do bohaterstwa?

Ależ jest, na miłość boską jest, istnieje napewno tęsknota do żywego bohatera, tęsknota do miłowania tego bohatera. Z jakąż siłą wyraziło się to w związku z katastrofą Żwirki. Ileż to żywiołowego entuzjazmu wydobyła z serc swych ta młodzież dla bohaterów, których mogła kochać, którzy nie stali od niej daleko, tak bardzo wysoko ponad nią, którzy stali się odrazu popularni tą najpiękniejszą popularnością, wypływającą z życzliwości, z serdeczności uśmiechu człowieka i zrozumiałej wartości ich czynu. Nie, nie wzruszają ich postacie już dla naszej rzeczywistości umarłe. Nie mogą ich przecież zrozumieć, bo nie chcą schodzić do grobów. Pocóż więc te śmiertelnie długie, przenudne studja? Pocóż ta nonsensowna analiza utworu, do którego czasem rozpalić należy i można?

Oglądałam niedawno zeszyt do... Reduty Ordona. — Było tam siedm rysunków — plan okopów na Woli, przyjęcie poselstwa paryskiego, wysadzenie fortu etc... Wypracowania na ten temat zahaczały o geografję, historję, inżynierję, tylko brakowało jednego... momentu entuzjazmu do tej przecudnej Reduty. — Czytałam również wypracowanie chłopca z piątej klasy: „Hodowla bydła w czasach Homera, a dziś". — Ręce opadają! Czyż można się dziwić, że młodzież powodowana poprostu instynktem samozachowawczym, ucieka od tej literatury, gdzie pieprz rośnie? Czyż można się dziwić, że supremacja w budzeniu przedewszystkiem zainteresowań sportowych ze straszliwem przymusowem wałkowaniem literatury ojczystej, z b. niedostatecznem, a raczej żadnem budzeniem dla niej zainteresowań, wywołuje właściwie tę kompletną obojętność dla niej rosnącego pokolenia? Jakże mogą dziwić się ci, co grzmią wciąż na barbarję t. zw. publiczności, na jej przyziemne gusty, na jej objętność w stosunku do malarstwa, poezji, rzeźby, architektury. Czyż człowiek staje się melomanem tak odrazu, tak ze środy na piątek? Czy kultura zamiłowań artystycznych, estetycznych od najwcześniejszych lat nie powinna stać się składową częścią w całokształcie wychowania, nauczania? Czy tylko Instytut Wychowania Fizycznego ma być jedynem remedjum na osiągnięcie tężyzny rasy? I czy ta tężyzna to tylko silne bicepsy i wspaniałe mięśnie? Czy szkoła to tylko dzień wczorajszy, to ciągła abstrakcja od twórczych żywych wartości dnia dzisiejszego? W literaturze — czcigodne strupieszałości, w historji odległe wydarzenia, nie dające w żaden żywy sposób powiązać się choćby niteczką przyczynowości z gigantycznemi zjawiskami, które stają dziś przed zdumionemi oczami? Czyż nie należałoby pomyśleć o reformie w tej dziedzinie? Ładowanie w młode mózgi powiedzeń i powiedzonek historycznych mężów? Poco? Czyż nie ważniejszą i konieczniejszą byłaby historja twórczego ducha ludzkiego i zwycięstwo prawd i wartości nieprzemijających?

Wiele wody upłynie i wiele gwiazd utonie w bezmiarze wszechświata, zanim dojdziemy do wprowadzenia w życie takich programów, które nie będą balastem, wyrzucanym z pamięci po otrzymaniu matury, wiele czasu przejdzie, zanim dojdziemy do świadomości, że szkoła winna przygotowywać do życia, tem nie mniej zabieranie głosu w tej sprawie jest konieczne, jest niezbędne. Może tą drogą, drogą ciągłego przypominania dojdziemy do tego, że powstanie wreszcie i Instytut Wychowania Intelektualnego, który rozważałby nieco wszechstronniej sprawę „tężyzny rasy".

Janina Strzelecka

STANISŁAW WYSPIAŃSKI

W 25-TĄ ROCZNICĘ ZGONU

W okresie najgłębszego rozdarcia dzielnicowego, kiedy każdy z zaborów miał odrębną stolicę i wypracowywał odmienną psychologję zbiorową,—Stanisław Wyspiański był pierwszym, po naszych wielkich romantykach, wyrazicielem całokształtu i powszechności myśli polskiej, jedynym dotąd i najpotężniejszym organizatorem wyobraźni narodowej.

Wyobraźni i energji. Obydwie te sfery aktywności zbiorowej znalazły się pod koniec XIX-go wieku w ślepej ulicy bez wyjścia. Wielki patos romantyczny zamieniono na drobną monetę pozytywizmu społecznego i realizmu w sztuce, a nowinki Młodej Polski, przeszczepione z Zachodu, przyjmowały się bardzo powierzchownie dzięki masowej psychozie snobizmu i całkowitej bezideowości społecznej.

Tak było w Galicji, gdzie było jeszcze najlepiej; obskurantyzm panował niepodzielnie w Poznańskiem, a w byłej Kongresówce Sienkiewicz kończył swą Trylogję „dla pokrzepienia serc".

I nie wiadomo dlaczego, skąd, jakim sposobem cudownym, pojawił się w Krakowie apostoł nowej Polski, której nikt jeszcze nie przeczuwał, a którą on przemyślał od początku do końca, każdym nerwem swej wspaniałej psychiki, którą przewidział jasnowidzeniem genialnego twórcy.

Wyspiański był profesorem energji narodowej — w rozumieniu Barrèsowskiem — nietylko przez to, że rozwijając myśli polskiego romantyzmu i mesjanizmu, przeciwstawił się im w buntowniczym porywie twórczego człowieka, nietylko przez to, że walczył z „poezją ruin" i rzucał estetyczno - moralne podwaliny pod nowy czyn współczesnego Polaka. Ale niepokojąca wielkość i nowatorstwo tego artysty ujawniły się głównie w rewolucyjnem przemyśleniu i przewartościowaniu całej historjozofji polskiej, jako narodu

i państwa; genjalną intuicją przejrzał i ustanowił siłą swej wizji nowe prawa polskiego mitu, które poprzez swą sztukę, teatr, malarstwo i poezję narzucał narodowi.

To prawodawstwo wyobraźni należy do najwyższych i najcenniejszych zjawisk w dziedzinie twórczości artystycznej. Sztuka staje się na tej drodze odgadnięciem przeszłości, bo stwarza ją powtórnie i stawia obok niedoskonałych i nieścisłych dociekań historycznych, — swoją wizję przeszłości i swoją intuicję, jako jedyną objektywną prawdę. To prawodawstwo wyobraźni nietylko na nowo zorganizowało tradycję i historję Polski — od Bolesława Śmiałego i Biskupa Krakowskiego, Stanisława, aż do nocy listopadowej, — ale rzucało w przyszłość narodu nieoczekiwane perspektywy działania, wytyczając zupełnie nowe drogi i inne stosując miary do ogarnięcia rzeczywistości.

Dopiero dzisiaj, w perspektywie lat, ocenić możemy prometejski trud tego niezwykłego człowieka, który umarł, nie przekroczywszy lat 40-tu, a w ciągu ostatnich 10-ciu lat życia, złożony ciężką niemocą, przepracował i przetrawił w sobie to wszystko, nad czem biedziły się całe pokolenia Polski porozbiorowej i najwybitniejsze umysły Polaków, od Skargi do Słowackiego.

Wyspiański żył w sferze wyższej, niejako platońskiej rzeczywistości. Zjawiska i zdarzenia powszednie, nawet najbardziej zwykłe, znajdowały swe odbicie w ideach tego człowieka, a wszędzie tam, gdzie zwykle rozstrzygał motyw psychologiczny, widział Wyspiański grę żywiołów, ekstazę religijną i metafizykę istnienia.

Słowo stawało się w tej twórczości naprawdę ciałem, przyoblekało się w konkretny kształt teatru, a teatr rozsadzał ramy sceny i widowiska, rzucając swój jasny cień w życiu współczesnej Polski.

Wówczas, w okresie „Wesela", „Wyzwolenia" czy „Legjonu" świat Polski stawał się wielkiem misterjum mocy narodowej, która, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pod ognistem słowem mistrza, nabierała nowych rumieńców życia i wróżyła świt, któremu na imię Wielkość i Wolność.

Zapatrzony w Wielkość, miał Wyspiański świadomość i przeświadczenie o całości narodu, który bytować musi jako państwo. Człowiek był punktem załamania się narodu, — (jakże w tem ujęciu odbiegał od całej ideologji ówczesnej Młodej Polski) — a naród naczyniem, w którem urzeczywistniała się boska tajemnica państwa.

Ten charakter twórczości i stosunek do życia sprawiał, że Wyspiański w sztuce swej jest nietylko genjalnym artystą, konstruktorem, klasykiem, dramatopisarzem i nowatorem, ale jest wieszczem, kapłanem i magiem, pośrednikiem między człowiekiem a jego Bogiem, prawodawcą nowych tablic i wartości.

Ci, którzy stawiają Wyspiańskiego w jednym szeregu, obok naszej trójcy romantycznej, nietylko nie dopuszczają się przesady, ale wątpliwe jest, czy sprawiedliwie odmierzają zasługę. Wyspiański jest kimś więcej dla pokolenia, z którego wyszły Legjony, niż Słowacki lub Krasiński dla okresu, następującego po powstaniu. Romantyzm był z punktu widzenia narodowego, próbą ratowania państwa poprzez ucieczkę od życia w ekstazę mesjanizmu, był wcielaniem w życie „próby grobu" — a z próby tej mogły narodzić się tylko upiory, klątwa lub przerażenie.

Wyspiański podejmuje czyn Mickiewicza z okresu, w którym Mickiewicz tworzył Legjon włoski. Zbankrutowało słowo mesjaniczne, chrystusowość narodów, będąca wyznaniem wiary Krasińskiego, zapowiadała dla Polski nie kończącą się noc niewoli. „Nie chcemy być więcej Chrystusem narodów" — rzuca Wyspiański Polakom w twarz, „chcemy być jako państwo".

Jako państwo. Czy hasło to zostało wówczas, na rubieży XX-go wieku zrozumiane tak, jak wydarło się ono z mgławicy djalektytycznego trudu w czasie zmagania się Konrada z Maskami? Społeczeństwo było wtedy ruchomym piaskiem, który układał się w dowolne kształty za lada podmuchem wiatru, idącym z trzech wrogich, zaborczych potęg.

To hasło, rzucone przez autora „Legjonu", — to były starosłowiańskie wici, rozpalone na kurhanach legendarnych Piastowiczów, których mogiły otaczają strażą dawny Kraków. Rozpalone ognie zobaczyli i sens ich zrozumieli tylko nieliczni. Ale w narodzie obudził się niepokój i dreszcz rzeczy nieznanych przeszedł przez całe społeczeństwo.

Wieszcz sięgnął poprzez „skorupę lawy" do wnętrza i szarpnął trzewiami narodu.

Każda z jego wizyj poetyckich i teatralnych jest walką o Polskę przeciw Polsce; jest przeoraniem przeszłości dla przyszłości. Jest zabijaniem upiora, aby żywy człowiek mógł rozprostować ramiona i zacząć naprawdę żyć.

„Wesele", to nawiązanie potężnej i groźnej tradycji do chochołowatej frazeologji mijającego pokolenia intelektualistów i małych zaściankowych polityków. Wielki cień polskiego mitu przesłania melodramatyczną groteskę ówczesnej dekadenckiej rzeczywistości.

Sąd, wydany przez Wyspiańskiego nad współczesnością, był straszliwy i bezwzględny. Refren ludowej piosenki o chamie i o złotym rogu był czemś więcej, niż szyderstwem i obelgą. W zaklętym kręgu tańca chochołowego znajdowała się wówczas niemal cała Polska.

A potem przyszło „Wyzwolenie", ta wspaniała wizja nowej Polski, zrywającej się do walki o życie i czyn u stóp Wawelskiego tronu króla polskich romantyków. „Wyzwolenie", które jest bluźnierstwem wobec tradycji i świętości, ale równocześnie programem nowego życia, nowej rzeczywistości, programem surowym, twardym, nieugiętym i bojowym. W „Wyzwoleniu" wdarł się Wyspiański na szczyty improwizacji Mickiewiczowskiej, na szczyty Kordjanowego Mont Blanc i Jungfrau Krasińskiego, — i wypędził z tych gór wszystkie upiory polskiego romantyzmu. Rozwalił tablice dotychczasowych przykazań i ugruntował nową postawę wobec przyszłości. Był Zaratustrą dla Polski, który „przeszedł przez most" na drugi brzeg.

W „Nocy Listopadowej", „Lelewelu" i „Warszawiance" ogarnął Wyspiański zbrojny poryw pokolenia, ostatni jego czyn wojenny i wojskowy. W porywie tym dokonała się i zamknęła historja Polski porozbiorowej aż do wczorajszego dnia jej niepodległości.

Oto znaki i słupy ogniste tej twórczości, które dzisiaj, po 25-tu latach przyświecają narodowi, jak drogowskazy po okropnej nocy niewoli i zamętu.

W czasie, w którym nie było organu zbiorowości polskiej, Wyspiański myślał za cały naród; myślał i walczył. Nie rozumiał, co to jest klęska. Wiedział, że świadomość klęski jest kłamstwem, które przezwyciężał na drogach swej sztuki.

W świecie jego teatru i wizyj niema granicy między bogiem a człowiekiem. Człowiek staje się bogiem w czynie i przez czyn, a bóg — człowiekiem w błędzie i namiętności. Bogowie greccy, którymi zapełnia swój świat ducha, to nietylko symbole i wizje bohaterów, ale ludzie rządzeni prawem bezwzględnej konieczności. Tam, gdzie człowiek załamuje się i ginie, rażony piorunem własnej niedoskonałości, każda klęska boga jest tylko wykonaniem nakazu i wyrokiem przeznaczenia. Bo tragiczna klęska, otwierająca bramy Hadesu, jest zawsze tylko przygotowaniem nowego czynu. Niema przepaści między dniem a wiecznością, jak niema różnicy między życiem a śmiercią. Są tylko rozmaite formy bytu, które dążą do najwyższej doskonałości.

Misterjum twórczości Wyspiańskiego jest dzisiaj dla wszystkich jasnowidzeniem, ziszczeniem się cudu i zmartwychwstaniem tej legendy, która przez ciąg pokoleń ukrywała się w cieniu Łazienkowskiego parku. Wyspiański dał nową twarz polskiej historji i wycisnął piętno swego genjuszu na teraźniejszości. W nim skupia się i urzeczywistnia ciągłość polskiej ideologji i tragicznej wówczas polskiej racji stanu. Bo Wyspiański był pierwszym wielkim statystą niepodległego państwa.

Dlatego też autor „Wesela", „Wyzwolenia", „Legjonu", „Nocy Listopadowej" jest nietylko profesorem energji narodowej, ale szafarzem i strażnikiem twórczej myśli polskiej, wiążącej przeszłość narodu z jego przyszłością.

Emil Breiter

UWAGI O PROJEKCIE NOWEJ USTAWY O SZKOŁACH AKADEMICKICH

W doniosłej i aktualnej sprawie autonomji wyższych uczelni, pragniemy czytelnikom „Epoki" przytoczyć motywy i argumenty najbardziej rzeczowe. Znajdujemy je w memorjale profesora Politechniki Warszawskiej, dr. Wojciecha Świętosławskiego, odczytanym dn. 15-go b. m. na Ogólnem Posiedzeniu profesorów Politechniki. Jak nam komunikuje prof. dr. Mieczysław Wolfke, z którym wywiad w tejże sprawie ogłosiliśmy w n-rze 5-tym „Epoki", memorjał prof. Świętosławskiego uzyskał jednomyślną aprobatę, zarówno powyższego zebrania, jak i Senatu Akademickiego Politechniki Warszawskiej.

Memorjał ten, z upoważnienia autora, zamieszczamy w całości.

Projekt nowej ustawy o Szkołach Akademickich oparty został na powziętej z góry teorji, że ciało zbiorowe nie jest zdolne do płodnej i pożytecznej akcji i dlatego należy dać pełnię władzy osobie stojącej na czele Ministerstwa Oświaty.

Przyjęty punkt widzenia sprawił, że niepodobna znaleźć w ustawie paragrafu, którego wykonanie nie mogłoby być sparaliżowane przez odpowiednie rozporządzenie Ministra Oświecenia.

W tem znaczeniu Ustawę poza kilku paragrafami, ustalającemi funkcje Rektora, Dziekanów, profesorów i innych, należących do ciała pedagogicznego, możnaby było zastąpić krótko ujętym paragrafem, stwierdzającym, że Minister zostaje upoważniony do wydawania wszelkich zarządzeń, regulujących życie Szkół Akademickich.

Nie podobna nie upatrywać wielkiego niebezpieczeństwa płynącego z takiego sposobu ujmowania rzeczy. Każda ustawa państwowa, a więc i ustawa o szkołach akademickich powinna być zredagowana tak, aby mogła przetrwać bez zmian przez długie lata. W tym okresie czasu mogą niejednokrotnie się zmienić gruntownie warunki polityczne, a zatem i rządy, kierujące nawą państwową. Otóż ustawa, dając nieograniczone wprost uprawnienia Ministrowi, stwarza wielkie niebezpieczeństwo stałej ingerencji władz w to życie, którego spokojny, apolityczny rozwój jest warunkiem koniecznym należytego funkcjonowania całego aparatu nauczającego. Wszak trzeba o tem pamiętać, że Uczelnie Wyższe są właściwą kuźnicą wszelkich badań i teoryj, które decydują o przyszłości i rozwoju kultury w danym kraju. Tu się rodzą i rozwijają idee i myśli, które często dopiero w kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt lat później znajdą swe zastosowanie i odbicie w życiu politycznem, gospodarczem lub ekonomicznem kraju. Na tem też tle niejednokrotnie powstawać mogą przeciwieństwa i rozbieżności poglądów, doprowadzające nawet do starć z kierownikami życia politycznego. Niepodobna więc zakłócić, przytłaczać lub zabijać pracy danego ośrodka naukowego, dlatego, że u steru stać mogą ludzie przeniknięci teorjami, wypływającemi z aktualnego życia politycznego.

W każdem Państwie Szkoły Akademickie, jako najliczniejsze skupienia uczonych, mają specjalne i wyjątkowe zadanie do spełnienia. Praca twórcza zespołu nauczającego stwarza warunki rozwoju kultury danego kraju, to też pracy tej niepodobna unormować przez żadne zarządzenia i przez żadną ustawę. Tu się przysposabiają kadry przyszłych pracowników, którzy się stać mają mózgiem twórczym narodu. Ta specyficzna rola Szkół Akademickich, polegająca na pracy dla przyszłości, wymaga przedewszystkiem niezmąconego spokoju i wielkiej równowagi w wykonywaniu tej pracy. To też ustawa nadająca nadmiernie wielkie uprawnienia Ministrowi Oświecenia nie może gwarantować, że spokój ten zawsze będzie zachowany. Każde większe zdarzenie polityczne, przeżywane wewnątrz kraju, będzie prowadziło do zmiany na stanowiskach kierowniczych politycznych, a to ze swej strony grozi za każdym razem naruszeniem równowagi życia szkół akademickich.

Trzeba podkreślić z całą mocą, że od stanowiska zajętego przez każdoczesnego Ministra Oświecenia zależeć będzie bieg i sprawność pracy Uczelni Akademickich. Może też się zdarzyć, że przez długie lata od czasu wejścia tej ustawy, życie akademickie w niczem naruszone nie będzie dzięki rozumnemu i umiarkowanemu wyzyskiwaniu, a raczej niewyzyskiwaniu przez Ministra uprawnień. Może się jednak

zdarzyć, że osoba Ministra, jego temperament polityczny, przypadkowe nawet zatargi z tym lub innym ośrodkiem, mogą się stać powodem tak gwałtownego zakłócenia biegu życia akademickiego, że wynikłe stąd straty zniwelują to, co uzyskane zostanie dzięki umiarowi i taktowi Ministrów poprzednich.

Trzeba zaznaczyć, że w przeciągu 12 lat istnienia obecnie działającej Ustawy o Szkołach Akademickich nie próbowano usunąć braków, jakie w toku rozwoju szkolnictwa zostały ujawnione.

Ministerstwo nie podjęło próby usunięcia braków w granicach obowiązującej Ustawy, wychodząc z założenia, że tylko nowelizacja Ustawy zdolna jest ulepszyć warunki pracy życia Szkół Akademickich. Inaczej na tę rzecz patrzyły Senat Akademicki i Rady Wydziałowe Politechniki Warszawskiej. Podjęły one w roku zeszłym i prowadzą obecnie intensywną pracę nad usunięciem braków i udoskonaleniem biegu życia akademicikego w ramach obowiązującej Ustawy. Zdaniem profesorów Politechniki pracę usunięcia braków można dokonać, opierając się na istniejącej Ustawie o Szkołach Akademickich.

Wysuwane są często oskarżenia przeciwko profesorom za błędy, popełnione w administracji gospodarczo-ekonomicznej szkół. Błędy takie istotnie były, ale nie wypływały one z t. zw. autonomji, a właściwie samorządu gospodarczo-ekonomicznego Szkół Akademickich, lecz z innych przyczyn.

Jeżeli chodzi o kontrolę finansów, to Szkoły Akademickie w tem znaczeniu nigdy autonomicznemi nie były. Kontrola Władz Państwowych jest w Polsce o wiele ściślejsza i bardziej krępująca, niż kontrola prowadzona w swoim czasie przez rządy państw zaborczych. Jeżeli więc były błędy i niedociągnięcia, wypływały one raczej z nienormalnych warunków realizowania budżetów. Przez długie okresy czasu nikt z kierowników zakładów nie wiedział, czem faktycznie rozporządzać może. Ciężkie warunki finansowe państwa doprowadzały z konieczności do tak dalekiej ingerencji władz w tym zakresie, że samorządu gospodarczo - administracyjnego uczelni polskich nie można porównać na jego niekorzyść z samorządem Szkół Akademickich podczas zaboru

Wysuwane są ciężkie zarzuty przeciwko profesorom za to, że nie mają oni dostatecznego wpływu i nie korzystają ze swych uprawnień w zakresie oddziaływania na młodzież i powstrzymywania jej od wybryków. Zarzuty te są tylko w pewnym stopniu słuszne. Być może wpływ moralny profesorów na młodzież mógłby być większy. Nie stoi to jednak w żadnym związku z tą częścią działalności profesorów, która dotyczy sądów, wymierzanych kar lub utrzymywania dyscypliny wśród młodzieży. Gdyby proste zarządzenia dyscyplinarne prowadziły zawsze do wyników dodatnich, Rząd sprawujący w pełni władzę autonomiczną nad obywatelami danego kraju nie miałby nigdy do czynienia z rozruchami ulicznemi, demonstracjami, ekscesami lub wreszcie jawnym buntem. Wszak metody kar administracyjnych, sądów koronnych, nakładanych na młodzież i środków najostrzejszych włącznie do masowego usuwania całych zastępów młodzieży, wypróbowane były niejednokrotnie przez Rosję i nigdy nie doprowadzały do wyników dodatnich. Rozruchy studenckie powtarzają się od czasu do czasu we wszystkich państwach, są one zawsze odbiciem pewnych warunków politycznych w kraju lub pewnych idej, które w głowach młodzieży nurtują. Rozruchy ustają nie pod wpływem kar i represyj Władz autonomicznych Akademickich, lub też Władz rządowych, ale pod wpływem zmiany nastrojów ogólnych młodzieży. Nastroje te jednak nie mogą się zmieniać pod wpływem perswazji lub moralnego wpływu profesorów. Zmieniają się one wraz ze zmianą prądów politycznych, moralnych i etycznych całego społeczeństwa, a młodzieży w szczególności. Rola wychowawcza profesorów może w wielu przypadkach osłabić, przytępić ostrość wystąpień, usunąć ich jednak całkiem nigdy nie zdoła.

Przytoczone wyżej motywy sprawiają, że olbrzymia większość profesorów ustosunkowała się nieprzychylnie do projektu nowej Ustawy o Szkołach Akademickich. Profesorowie ci są przytem przeświadczeni, że gdyby nawet Ustawa ta weszła w życie, faktycznie wykonywaną prawie nigdy nie będzie. Ministrowie W. R. i O. P. sami dochodzić będą do wniosku, że z uprawnień im nadanych korzystać nie należy i milcząco lub jawnie przelewać będą swe uprawnienia na tych, którzy uprawnienia te ustawowo posiadać powinni. Jeżeli więc ogół profesorów jest nieprzychylnie usposobiony do nowego projektu, dyktowane to jest przez uczucie niepokoju, że mogą się zdarzyć wypadki, gdy uprawnienia w pełni lub w części wyzyskane przez czynniki polityczne, spowodują niepowetowane szkody szkolnictwu wyższemu a tem samem całemu krajowi.

REFLEKSJE

SNOBOKRACJA

Określenie „snobokracja", należy do p. Ireny Gałęzowskiej, autorki znakomitego studjum p. t. „Ferment snobizmu", które przed paroma tygodniami ukazało się w druku.

Oto prawdziwa, precyzyjnie dokonana wiwisekcja nad jedną z najbardziej odpychających odmian gatunku ludzkiego.

P. Gałęzowska zadała sobie trud nielada, żeby najdokładniej zbadać genezę snobizmu, jego podłoże historyczne i społeczne oraz atmosferę, w jakiej rozwija się najbujniej, zwłaszcza w Polsce. Taki trud warto było sobie zadać, chodzi bowiem o sprawę dużej wagi: „Snobizm jest plagą Polski... Snobizm, czynnik zastoju, głupoty, okrucieństwa i złej, nienawistnej reakcji, panuje w Polsce nakształt chronicznej epidemji, którą zarażają się jedni naoślep i bezwiednie, a którą drudzy, jeszcze częściej, hodują w sobie lub w innych, rozmyślnie i celowo".

P. Gałęzowska oświetla różne rodzaje snobizmu: „Snobizm oświecony opiera się wprawdzie na fałszywych założeniach bio— i psychologicznych, ale jest świadomy i co więcej usprawiedliwiony w oczach własnych. Snobizm naiwny jest najczęściej zwykłą podłostką lub podstępem, lub próżnością, opierającą się na względach towarzyskich i nie szukającą głębszych podstaw. Pierwszy jest zwykle jaśnie oświecony, a może być nawet łaskawy, drugi jest poprostu błazeński. Niezawsze spotyka się te dwa gatunki w stanie wolnym, często występuje w postaci mieszanej lub związku — i wtedy jest prawdziwa katastrofa, zupełne bankructwo myśli i serca". I jeszcze inny gatunek — snobizm pokorny: „Istnieje także jeden przedziwny gatunek snobizmu, że tak powiem pokornego, który polega na podporządko-

waniu swych ambicyj, gustów, nawet przekonań, przemocy opinji i powagi możnych i uznanych, niezależnie od wartości ich zdania".

W. M. Thackerey w swej „Księdze Snobów" powiada: „Snob jest to osoba, która chce uchodzić za lepszą, osobliwie za bogatszą i bardziej elegancką, modną (fashionable), niż jest w istocie". P. Gałęzowska przypomina, że wyraz „snob" pochodzi od islandzkiego „snapr", to znaczy — głupiec, z pewnym odcieniem oszusta i szarlatana. A znów stary słownik angielski (An Etymological Dictionary of the English language) podaje: „Snob — a wulgar person".

„Postać wulgarna" — to będzie bodaj określenie najlepsze, syntetyczne, stosujące się do wszelkich odmian snobizmu — jaśnie oświeconego, naiwnego, pokornego i t. d.

W snobizmie wyraża się z jednej strony siła wielowiekowego przesądu, z drugiej—psychologja tej małości ludzkiej, która chce zewnętrznie dorównać temu, co uważa za „wyższe".

Nie myli się p. Gałęzowska, twierdząc, że snobizm jest plagą i epidemją. Na każdym kroku, wszędzie, w urzędach, biurach, kawiarniach, na zebraniach towarzyskim widzi się nieszczęsne i obrzydliwe typy snobów. Jeżeli ktoś zasługuje na pogardę, to przedewszystkiem ten, który sam siebie nie szanuje. Otóż snob najczęściej jest w swem przekonaniu czemś mniejszem, gorszem, pośledniejszem, w porównaniu z tymi, z którymi chciałby się towarzysko zrównać. Uznaną przez siebie samego różnicę pomiędzy sobą a nimi chce zewnętrznie zatrzeć i odpowiednio reżyseruje swoje życie. Stara się o znajomości z dygnitarzami, zaprasza do siebie ludzi utytułowanych, rozkoszuje się ich obecnością w jego mieszkaniu. Zdobywa niejako „dowód", że jest „godny" ich towarzystwa. Rośnie we własnych oczach. Delektuje się swoimi stosunkami, na których utrzymanie wydaje sporo pieniędzy, niekiedy wprost się rujnuje, byleby tylko nie stracić kontaktu ze „sferą wyższą".

Jeżeli czemś się zajmuje na terenie społecznym, czy politycznym, dokłada wszelkich starań, żeby mówiono o nim jaknajwięcej. Jest jakby biurem ogłoszeń na użytek swej osoby.

Odwiedza redakcje, prosi o notatkę, pilnuje, żeby nie opuszczono jego nazwiska w sprawozdaniu z konferencji, w której uczestniczył, albo na której coś powiedział. A już rozkoszą nad rozkoszami jest dlań odznaczenie, order. Order! To mu odbiera przytomność, to go oszałamia. Czego nie zrobi dla otrzymania orderu! Będzie kimś innym, będzie paradował z tą blaszką, która go wyróżnia. Będzie mógł nie kłaniać się pierwszy, albo kłaniać się niedbale. Jeśli zdobędzie parę orderów, dostaje już lekkiego obłędu.

Jest w tych swoich zabiegach nieraz bardzo sprytny i przebiegły. Kombinuje nieustannie, komu należy okazać jakąś przysługę, kto mu się może przydać na drodze towarzyskiego awansu, kto z kim może go zaznajomić. Układa sobie w tym celu całą strategję życiową.

Najczęściej też dużo kłamie o sobie, pomaga sobie blagą w dźwiganiu się „wyżej", łże o swojem pochodzeniu i o węzłach pokrewieństwa, a czasem nieprawnie używa jakiegoś tytułu.

Błazen to nad błazny. I do takich dają się zastosować słowa Wyspiańskiego: „Błaznów macie całe wiece".

Widz

ODGŁOSY

PUBLICZNOŚĆ REAGUJE

Rzecz znamienna, że w czasach, kiedy jak grzyby po deszczu wyrastają teatry rewjowe i operetkowe, kiedy poważne ongiś teatry wystawiają dla przyciągnięcia publiczności ponure bujdy — publiczność tłoczy się na widowisku, nie mającem nic wspólnego z kabaretem i trywjalnym dowcipem. Mówię o „Kapitanie z Koeppenick" Zuckmayera w teatrze „Ateneum". Widowisko jest świetne, zarówno pod względem reżyserskim, jak i wykonania. Zdawałoby się tedy, że w tej niezwykłej frekwencji niema nic dziwnego, że to zupełnie naturalne.

Ale gdyby to tylko o to chodziło, to pełno byłoby na wszystkich sztukach t. zw. wielkiego repertuaru, które przecie zwykle są świetnie obsadzone i wyreżyserowane. Nie. Chodzi tu o co innego. Ten tłok publiczności dowodzi, że sztuka utrafiła w najbardziej żywotne zainteresowania ludzkie. Myślący ogół interesuje się dziś tem, co ma bezpośredni kontakt z życiem, co zahacza o najistotniejsze zagadnienia, jednakowo ważne dla wszystkich. Nie nadczłowiek, nie bohater, w którym wszystko musi być niezwykłe, ale szary człowiek z tłumu, część masy, część zbiorowiska, do którego należymy, daje nam ten kontakt. Reportaże dają nam przekrój życia i tem tłomaczy się ich powodzenie. Porównujemy, jak jest u nas, jak gdzieindziej, cieszymy się, odnajdując pod skorupą faktów wspólne cechy ludzkie, oblicze człowieka.

Nieszczęśliwy szewc w sztuce Zuckmayera jest ucieleśnieniem umęczonego człowieczeństwa, którego nie chce w nim uznać porządek państwowy, nadęty, jak balon, biurokracją i potęgą munduru.

W tych tak niedawnych czasach w Niemczech mundur był wszystkiem, człowiek — niczem. O ile jeszcze miał paszport, mógł być siłą roboczą, albo mięsem armatniem, bez paszportu wogóle nie istniał, był poza nawiasem.

Tak było trzydzieści lat temu. Wielkie wydarzenia, które zaszły w tym okresie czasu, zmieniły nastawienie umysłowe ludzi. Duch rewizji, duch krytyki, przewartościowywania pojęć — to jest podejście dzisiejszego człowieka do życia. Można było widzieć odbicie tego w reagowaniu publiczności na sztukę. Nie było na scenie, ani jednego momentu, gdzie butna bezmyślność tryumfuje nad człowiekiem, któryby nie wywołał żywego oddźwięku na widowni. Scena w kawiarni, gdzie okazuje się nicość i bezsilność kapitana, który bez munduru stał się zerem, wywołuje huragany oklasków na widowni. Publiczność w ten sposób domaga się uznania wartości człowieczych. Wspaniała scena w więzieniu po krótkim odruchu wesołości budzi dreszcz zgrozy. „Więzienie to przyjemna rzecz"... Co za ponura groteska!

U wszystkich widzów ten sam wyraz napięcia, żywej reakcji na wszystko, co się dzieje na scenie. Utrafiono w temat, który obchodzi. Pobudzono publiczność do myślenia.

Okazuje się więc, że girlsy swoją drogą, a poważniejszy repertuar swoją drogą. To, że jest pełno na rewji, nie znaczy, żeby tylko ten typ widowisk mógł mieć powodzenie.

H. Nal.

PRZEBUDOWA PRZECIĘTNEJ JEDNOSTKI

Organizacja Sowietów tworzy ustrój, zbudowany nietylko na podstawie kolektywnej produkcji i — o ile to możliwe — równej konsumpcji. Jest ona, jak to słusznie określił Coudenhove w swej niedawno wydanej książce „Stalin i S-ka", czemś więcej, niżeli tworem politycznym, bo — państwem, religją i trustem równocześnie. W swym pierwszym charakterze rozporządza olbrzymią władzą dyskrecjonalną nad obywatelem, tem dla niego groźniejszą, że zarzucony tam został zachodnią tradycją uświęcony trójpodział władz wzajemnie się hamujących. Jest komunizm ponadto religją, która w miejsce starych bóstw i obalonych kanonów wiary stwarza nowe — mimo odmienne pozory — niemniej irracjonalne, ale w swej nowości bardziej zaborcze i nietolerancyjne.

Religja materjalizmu ma w partji komunistycznej swój kościół oraz kongregacje dogmatyczne, dlatego nie bez podstawy porównywał Trocki budowę partji komunistycznej do Zakonu. Jest jednak ten kościół od starego o wiele bardziej niebezpieczny dla sceptycyzmu jednostek, bo posiada całą siłę namiętności, rozmach misyjny i żar wiary młodych wyznawców.

Tworzy wreszcie ustrój sowiecki olbrzymi trust przemysłowo-handlowy, który zagarnia całą wytwórczość kraju i jego handel w swoje ręce.

Tak więc Związek Rad jednoczy w sobie równocześnie trzy największe potęgi organizacyjne: państwową, ekonomiczną i religijną, opartą o szeroko rozbudowaną podstawę teoretyczną materjalizmu marksowskiego. Nie można się przeto dziwić, że przeciętna jednostka chwycona w olbrzymie tryby życia społecznego ulega z konieczności przemianie.

Dlatego nietyle zmiany czysto ustrojowe, form życia i wymiany gospodarczej w wielu wypadkach z doktryn od wieku znane, budzą zaciekawienie, ile ich projekcja na psyche przeciętnego człowieka. Tem interesującem nastawieniem do problemu nowej Rosji odcina się książka Artura Rundta „Der Mensch wird umgebaut" (E. Rowohlt Verlag 1932), od istnej powodzi sprawozdań i opisów Rosji masowo zalewających rynek księgarski.

Dla niego zmiany dokonywujące się w Rosji są przedewszystkiem problemem psychologcznym, bo wszystkie uzależnione są w swym ostatecznym rezultacie od sposobu reagowania na nie obywateli i możliwości przemiany ich dusz. I Rundt nie zamyka oczu na ekonomiczną i ustrojową rewolucję, jaką przeszła Rosja, świadom jest całego pędu ku uprzemysłowieniu kraju i racjonalizacji pracy. Dla niego jednak nie istnieją oderwane cyfry i formy, wszędzie i zawsze przemawia do niego żywy człowiek, wciśnięty w okowy nowej organizacji państwowej, dla której wolność jednostki jest przesądem burżuazyjnym. Szkice i miniaturki Rundta doskonale ilustrują proces wchłaniania przez Państwo resztek indywidualnych różnic i niszczenia inicjatywy jednostki, jej swobody w każdej dziedzinie. Krojenie wszystkich na jedną miarę nie odbywa się mimo wszystko bez wstrząsów. Rosja przeżywa mniej głośną, ale brzemienną w skutki, rewolucję dusz.

Obserwujemy tam namacalnie nadzwyczaj ciekawe skrzywienie, jakiemu ulegają nowe teorje w zetknięciu ze staremi zakorzenionemi przyzwyczajeniami i rutyną.

Rosja stoi jeszcze ciągle przed najtrudniejszym z przewrotów, przed najtrudniejszą z rewolucyj.... przed przebudową „przeciętnego człowieka".

Oglądając muzeum antyreligijne w Moskwie, zapytuje Rundt dyrektora, czy faktycznie w obliczu tego obfitego materjału niweczącego iluzję boskości, mógł stwierdzić przemianę pobożnego w sceptyka. Raz jeden miał się w ciągu kilku lat taki wypadek zdarzyć. Natomiast dwanaście razy do roku pielgrzymuje do antyreligijnego muzeum staruszka aż z Saratowa, by na urnie z kośćmi św. Syrafina przywiezionej tutaj z klasztoru, składać wieniec w podzię kę za cudowne uleczenie z przed laty. Tak rozmach agitacji bezbożników wstrzymał się przed opoką długowiecznych przyzwyczajeń.

Inna miniaturka przedstawia nadużycia w łatwem zawieraniu małżeństw i uzyskiwaniu rozwodów. Pod urzędem rejestrowym tłoczą się całe masy ludzi, większość to stali bywalcy, znają przepisy o alimentacji i przeważnie proszą, w szczególności kobiety, o wręczenie swym małżonkom decyzji rozwodowych przez pocztę. Szybko i skutecznie.

Z ust jednak niejednej kobiety wyrywa się westchnienie, że rzeczy toczą się zbyt szybko, że niejednego małżeństwa byłoby mniej, gdyby w postępowaniu były stawiane trochę większe trudności. Przyzwyczajenie wielu pokoleń do zewnętrznych przeszkód w lekkomyślnem zawieraniu i rozwiązywaniu małżeństw nie pozwoliły na tworzenie się hamulców wewnętrznych, psychicznych. A kiedy zapory prawne w zupełności odpadły, stanęła przeciętna jednostka wobec próżni psychicznej i stąd to utyskiwanie na prawną dopuszczalność tak łatwego rozwiązania małżeństwa.

Przychodzimy do charakterystycznej nowości wprowadzonej przez Sowiety: indywidualnego świętowania. Paradoks nadzwyczajny.

Kiedy wszystkie demokratyczne państwa uznające gospodarkę prywatną, wprowadzają kolektywny przymus odpoczynkowy, niedzielę jedną i dla wszystkich, komunistyczne państwo rozbija wspólną możliwość odpoczywania, udzielając kolejno poszczególnym grupom, co piąty dzień odpoczynku. Podskórnie jednak przebiło wielowieczne przyzwyczajenie, łamiąc rygor ciągłości pracy i zmusiło władze do udzielenia wolnego dnia przynajmniej wszystkim robotnikom jednej komórki fabrycznej. Nie nadarmo uczono ludzi przez tyle lat we wspólnocie radować się i odpoczywać.

Sowiety, by ugruntować swój ustrój, muszą poza formami bytu i współżycia przekształcić psyche przeciętnego człowieka. Gdyby im się to udało, to zrozumienie tego ustroju wobec zupełnie innych ludzi będzie dla nas wtedy jeszcze bardziej trudne i uciążliwe.

I. Reisler

*) Książka ta wyszła w przekładzie polskim p. t. „Sowiety tworzą nowego człowieka". Wydawnictwo Nowoczesne. Warszawa, 1932.

W WALCE Z LITOŚCIĄ

Zaczęła wychodzić Bibljoteczka propagandowa Instytutu głuchoniemych i ociemniałych w Warszawie. Pierwsza broszurka napisana jest przez ociemniałych, a złożona w drukarni Instytutu przez głuchoniemych.

Jeden z wychowańców Instytutu, p. Feliks Woźniak, pisze:

„Powstał między nami projekt stworzenia pisma, któreby zainteresowało szerszy ogół i dało nam możność zbliżenia się do społeczeństwa widzących, czego tak bardzo pragniemy... Będzie ono redagowane w większej części przez nas samych. Postaramy się w niem udowodnić, że nie jesteśmy niedołęgami, za jakich nas uważają niektórzy, iż prócz utraty wzroku — niczem więcej nie różnimy się od widzących, że możemy uczyć się i pracować, że przy normalnych warunkach bytu — możemy stać się wszyscy pożytecznymi członkami społeczeństwa."

Kilka razy powtarza się w broszurze ten sam motyw: nie chcemy litości, mamy swoje własne życie, pełne treści, chcemy pracować, chcemy być pożyteczni.

W pracy zbiorowej uczenic i uczniów klasy VII-ej czytamy:

„My nie tylko poznajemy osoby po brzmieniu głosu i odbieramy w związku z tem bardzo dużo miłych i przykrych wrażeń — ale i zachwycamy się na tej drodze pięknem przyrody — czego dowody odebraliśmy na wycieczkach turystyczno - krajoznawczych po naszej ziemi — a wnosimy to piękno do naszej świadomości nie tylko drogą słuchu, ale i innych pozostałych zmysłów, wypełniając w ten sposób lukę, jaką tworzy niechybnie brak wzroku...

Czyż wobec powyższego — można brak wzroku nazwać „ogromem nieszczęścia" — zasługującego na „ogrom współczucia" — jak nam niedawno napisano?

Nie przesadzimy, skoro powiemy — iż to jest głównie naszem nieszczęściem, że gdziekolwiek się obrócimy, słyszymy tylko wyrazy politowania i współczucia — a nigdy prawie nie dochodzi nas głos zrozumienia, zachęty i wytrwania...

Proszę wierzyć, że my, którzyśmy nigdy nie odbierali wrażeń wzrokowych — wcale nawet nie odczuwamy braku wzroku — bo czyż można odczuwać brak czegoś, czego się nigdy nie posiadało? Ci, którzy kiedyś widzieli — tęsknią niechybnie za utraconym wzrokiem — ale i oni — jak mówią — po pewnym czasie przyzwyczajają się do rzeczywistości, tembardziej, gdy się przekonają — że jako niewidomi — mogą pracować z równym, jak widzący — pożytkiem."

P. Irenka Moczydłowska protestuje energicznie:

„Dwa światy widomych i niewidomych duży stanowią kontrast... Dlatego też pragniemy coś o sobie napisać, ażeby społeczeństwo lepiej nas rozumiało i nie wyobrażało sobie, że jesteśmy bez żadnego wyjścia. Otóż tak nie jest! Musimy zaprzeczyć temu z całą stanowczością i przekonać wszystkich, że możemy kształcić się i pracować narówni z widzącym."

Dalej pisze p. Moczydłowska o metodach pracy umysłowej, niewidomych, o ich pracy rzemieślniczej i fabrycznej. Bardzo interesujący jest opis wrażeń z wycieczki do Wilna i Białowieży pióra p. Woźniaka. „Znamy — pisze on — ziemię naszą od Bałtyku aż po Tatry, od Poznania po Wilno i Białowieżę". W jaki sposób osiąga niewidomy tę znajomość? Wyjaśni to nam kilka urywków:

„Idąc, oddychaliśmy pełną piersią, powietrze bowiem w Wilnie jest świeże, przesycone zapachem zieleni i kwiatów — z czego wniosek, że miasto otoczone parkami i ogrodami."

„Kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu jasny, pełen światła. Dało się to wyczuć po promieniach słonecznych, padających na twarz. Wielkość kościoła znaczna — wrażenia wyczute z brzmienia głosu naszego p. dyrektora, udzielającego wyjaśnień."

„Z cmentarza pojechaliśmy autobusami do podnóża Góry Trzykrzyskiej. Jest to najwyższy punkt w Wilnie i najbardziej odsunięty od miasta. Czuliśmy to po potężnej fali powietrza, że dookoła otacza nas znaczna przestrzeń."

„Do skarbca Katedry szliśmy po schodach ciemnych, co wyczuwaliśmy wyraźnie po ciężkości powietrza."

P. Bronka Bortkiewiczówna opisuje z talentem „piękno muzyki i przyrody w naszem życiu."

Ze swej pracy fabrycznej zdaje sprawę p. Mieczysław Dąbrowski. Pracuje w fabryce wyrobów tytoniowych, razem z kolegą również niewidomym. Z początku obawiali się, czy podołają (załamywanie brzegów 18.000 kartonów w ciągu 8 godzin):

„Najmocniejszym bodźcem była nam myśl, że jesteśmy odpowiedzialni przed całą gromadą naszych niewidomych kolegów — bo przecież to nic innego, tylko oni wszyscy w osobach naszych zdają egzamin swej przydatności zawodowej...

W krótkim przeciągu czasu sprostaliśmy zadaniu i dziś już jesteśmy wciągnięci na listę stałych pracowników monopolu."

W końcu p. Zofja Osidaczówna, opisując pracę niewidomych, jako masażystów, oświadcza:

„Wobec tego nie zasługujemy na litość i nie chcemy współczucia — ale w miarę możności pomocy od osób widzących w zdobyciu pracy, gdyż w ten sposób możemy się stać pożytecznemi członkami ku swemu i społeczeństwa tegoż pożytkowi."

„Epoka" jest posterunkiem ideowym, który służy najwznioślejszym hasłom naszych czasów.

KONFLIKTY SUMIENIA *)

W „Grozie śmierci", czyli w drugiej części „Sprawy Mauriziusa", będącej w luźnym związku ze „Zmierzchem Aniołów" — Wassermann pisze: „Ten tylko zna piekło, kto doświadczył, czem jest w istocie teraźniejszość".

Zna on to „piekło", jak może niewielu. Ale właśnie dlatego, że zgłębił grozę życia, doskonale wyraża ważkość współczesności, która jest niewątpliwie straszna, ale i równie wielka.

W ostatniem dziele znakomitego pisarza dużo mówi się o psychjatrji. Po wojnie, tym potwornie krwawym zabiegu, dokonanym na ciele ludzkości — duch jej musiał zachorzeć. Ale i ów napozór tak prosty sąd, jest w istocie sporny. Jeden z bohaterów książki, doktór Józef Kerkhoven, powiada: „Nasuwa się myśl, że wielkie katastrofy historyczne, wojny, rewolucje, upadki ludów, pozostają w daleko ściślejszym związku z wybuchami newroz, niżeliśmy dotychczas pojmowali". Dlatego też Kerkhoven zapytuje z naciskiem: „Czy nie byłoby rzeczą ważną, paląco ważną, dowiedzieć się, czy mamy przed sobą zjawisko przyczyny, czy zjawisko skutku?"

Miljony ludzi wojna złamała i powaliła. Trzeba koniecznie dokonać wielkiej selekcji — dźwignąć z ogólnego upadku ducha bodaj te jednostki, które niejako samem swem istnieniem zdolne są tworzyć lepszą przyszłość. Nadeszły czasy dla wielkich lekarzy, typu Kerkhovena. Nawet czysto fizyczne objawy bywają tylko refleksem cierpienia duszy: „Ciało oznajmia gotowość zaznawania bólu, aby ulżyć przez to cierpieniu wewnętrznemu". Dlaczego to zjawisko jest tak rozpowszechnione — odpowiedź prosta: „W żadnej epoce nie występowały tak liczne i częste konflikty sumienia, jak w obecnej, której zarzuca się przecież szczególną brutalność i chłód uczucia".

Owe, typowe dla współczesności, konflikty sumienia stanowią podwalinę powojennych dzieł Wassermanna.

Druga rzecz charakterystyczna dla tego wielkiego pisarza, to fakt, że bohaterowie jego utworów są przeważnie obdarzeni nadzwyczaj bogatym intelektem, co spotyka się w literaturze rzadziej, niżby się zdawało, a już najrzadziej w dzisiejszej literaturze polskiej.

Pomiędzy ludźmi, których los ze sobą zetknął poto, by się wzajemnie dopełniali, lub poto, by się wzajemnie niszczyli — dokonywa się rodzaj przedziwnej transfuzji duchowej.

Józef Kerkhoven, mało znany lekarz małego miasteczka, zostaje wezwany do Jana Irlena, który cierpi na śpiączkę, po powrocie z Afryki.

Irlen czuje, że jest „poświęcony" śmierci. Jeśli łudzi się jeszcze, to bardzo powierzchownie i tylko w chwilach przytępienia świadomości. Tak, czy owak — pełnia życia Irlena już się skończyła. Ale zato osiągnął pełnię duchowego rozwoju, do czego musiały się przyczynić i długi pobyt w Afryce, słusznie przyrównanej do innej planety, i — nawet sama choroba.

„Człowiek jest tem, co trwa" — Irlen nie może więc zejść ze świata bez pozostawienia po sobie wyraźnego śladu. Wówczas zaczyna się dziać rzecz pozornie dziwna, a w istocie prosta i prawdziwa: Irlen leczy swego lekarza — pomaga mu odkryć samego siebie, co w następstwie zaważy na całej przyszłości Kerkhovena.

Kiedy Irlen wyzwala się od męki życia, przy pomocy przyjaciela — zostawia mu nietylko swoją moc duchową na dalszą drogę, lecz — przez obdarzenie go tą mocą — darowuje mu Marję.

Jeszcze jako dorastająca dziewczynka Marja poznała Irlena. Zostawił po sobie „tęsknotę za uwielbianiem" i kilka tych, pozornie nieznacznych, słów, które poprostu „wchodzą w krew". Zczasem Marja wyszła za mąż za Bergmanna. Zaślubiła tego młodego chłopca z braterskiej przyjaźni, a nie z miłości. W cieple jego życzliwej atmosfery drzemała sobie wygodnie na powierzchni życia i podświadomie śniła sen, którego istotą był człowiek typu Irlena. Właśnie człowiek jego typu raczej, niż on sam, już trochę za stary i powalony chorobą.

Takim człowiekiem o duchu irlenowym, okazał się, rzecz prosta, doktór Kerkhoven. Daleka od wszelkich sztuczek — Marja oddaje mu się bez zastrzeżeń, ograniczeń i warunków: „Nieinaczej, jak kiedy ptak rozpościera skrzydła, aby się powierzyć powietrzu. Czy ma przedtem rozważnie wypytać o temperaturę i jaka będzie jutro pogoda i co będą o tem sądzili inni mieszkańcy gniazda?"

Staje się rzeczą coraz bardziej jawną, że podejście do człowieka, rozpatrywane pod mieszczańskim kątem: „Zważ tylko, czy to przyzwoicie" — jest amoralne i obmierzłe. Niemniej — ludzki stosunek człowieka do człowieka jest jeszcze czemś tak nowem, że dotąd zdumiewa nawet ludzi typu Kerkhovena.

Kiedy mąż Marji dowiaduje się o jej niezłomnej decyzji opuszczenia go — poprostu wtula się w jej łono i płacze. Rozumie dobrze, iż niema tu miejsca na czyjąkolwiek „winę" — ale, niemniej, cierpi i — ucieka ze swojem cierpieniem właśnie do — przyjacela. Scena ta jest wstrząsająco prawdzwa i, doprawdy, aż żal tych biedaków, ktorzy uważają, że mogła się zrodzić jedynie w bujnej fantazji pisarza.

Początkowo oszołomiony Marją i pełnią rozwoju, jaką zda się przy niej osiągać — Kerkhoven, z czasem daje się pochłonąć takiemu nadmiarowi pracy, że na radość posiadania własnego życia nie znajduje już zupełnie miejsca. Żona jest mu nadal najbliższym człowiekiem, ale tylko tak bliskim, jak własne ciało, o którem się wogóle nie pamięta dopóki nie zaboli.

„Niejedna namiętność zawdzięcza swe powstanie tylko obawie przed próżnią" pisze Wassermann w 2-gim tomie „Sprawy Mauriziusa". Podobna obawa musiała ogarnąć Marję, gdy, jeszcze za czasów jej pierwszego małżeństwa — coś rzuciło ją w objęcia Suermondt'a. Był on z typu tych władczych mężczyzn, którzy ciągną ku sobie jak przepaść. Ma się całkowitą świadomość, że skok będzie śmiertelny, a zarazem — nieprzepartą potrzebę rzucenia się gło-

*) *Jakób Wasserman:* „Zmierzch Aniołów". Cz. I: Józef Kerkhoven. Cz. II: Etzel Andergast. Przekład M. Tarnowskiego. Polskie Towarzystwo Przyjaciół Książki. (Tytuł „Zmierzch Aniołów", w przekładzie polskim jest zmyślony i niczem nieumotywowany. Tytuł oryginału brzmi: „Etzel Andergast").

wą wdół. Takiemu człowiekowi oprzeć się niepodobna, ale i związać się z nim niesposób. Po otchłannem szaleństwie krótkiego przeżycia musi nastąpić nagłe, całkowite zerwanie. Jest ono bolesne, jak wydarcie odłamka granatu z własnej piersi i — równie niezbędne. Zwleka się ze strachu przed męką operacji i — uskutecznia się ją wkońcu z lęku przed gangreną.

Nie wszystko, co boli, da się odrzucić precz. Można i należy zerwać tylko z takim człowiekiem, który swą obcą psychiką zatruł duszę, spowodował zamroczenie. Można wyjąć sobie z piersi odłamek granatu, ale niepodobna wyciąć kawałka serca. Cóż począć, gdy człowiek nietylko zjednoczy się i zespoli z drugim człowiekiem, ale „wtopi się" w niego?

Tak właśnie „wtopiona" była Marja w Kerkhovena. Gdy zaczął się od niej odsuwać wgłąb swej nadludzkiej pracy — żyła już tylko w świetle mijającego uczucia. Zdarza się często, że widzimy blask gwiazdy, która zgasła. Sprawia to poprostu szalona odległość. Przedziwna rzecz — widzieć promieniowanie, którego źródło już zanikło. Zwodnicza rzecz. A gdy ją sobie należycie uświadomić — w dodatku — bardzo smutna. Człowiek, który czuje, że przestaje żyć w myślach drogiego mu człowieka, zaczyna naprawdę zamierać. Mimo wszystko, Marja całą siłą instynktu odpycha od siebie każdy wpływ, który mógł ją, w następstwie, oderwać od Kerkhovena. Dlatego Etzel Andergast był jej niesympatyczny, choć antypatja ta była pozornie niczem nieumotywowana.

Etzela von Andergasta znamy ze „Sprawy Mauriziusa". Jednak, 2-gi tom „Zmierzchu Aniołów" nie jest bynajmniej kontynuacją tej powieści. Wydzieranie niewinnego Mauriziusa ze szponów „sprawiedliwości" było dla Etzla jednem z tych wstrząsających przeżyć, które stanowią zamkniętą w sobie całość i nie mogą mieć „dalszego ciągu". Właściwie, każde życie, godne tego miana, składa się z szeregu poszczególnych ogniw, nieomal z szeregu poszczególnych żyć. Mają one pomiędzy sobą tyle wspólnego, co różne dzieła tego samego pisarza. Nie mniej, ale i niewiele więcej. „Wszystkie nasze przeżycia po pewnym czasie stają się snami, „ja", które je przeżyło nie jest już tem „ja", które je wspomina" — powiada Wassermann w „Grozie śmierci".

Struktura duchowa dwudziestoletniego Etzela Andergasta jest symbolicznem zwierciadłem współczesności. Obarczają go wszystkie udręki i gorycze tego świata. Przez to, co Wassermann nazywa zawikłaniem dróg i przemocą prądu współczesnego — Etzel popada w beznadziejny mrok. Wyzwolić go może już tylko jakiś wielki lekarz dusz, wszechczujący, bo udręczony ludzkiem cierpieniem, a więc obdarzony mocą oddziaływania, jakiej nie posiadają ludzie o stalowych nerwach, nieznający grozy.

„Jednem z zasadniczych praw, pod które podpadają egzystencje, jest prawo spotkania" — powiada Wassermann. Mocą takiego tajemnego prawa — Etzel poznaje Kerkhovena. Charakterystyczna dla naszych czasów, potrzeba duchowego obnażania się, płynąca z rozpaczliwego szukania jakiegoś ratunku, sprawia, że nawet tak twardy chłopiec jak Etzel, zwolna odkrywa się przed Kerkhovenem.

W ciągu długich, wstrząsających rozmów, jakie prowadzi z doktorem, znakomicie zarysowuje się duchowa sylwetka młodego człowieka. Okazuje się naprzykład, że Etzel, który każdą kroplą krwi nienawidził swego ojca, za jego urząd prokuratora, ma z nim wiele wspólnych rysów.

Odraza do oskarżenia publicznego musiała wytworzyć w młodzieńcu potrzebę ustawicznego wietrzenia wszędzie krzywdy i niesprawiedliwości. Cóż dziwnego, że stał się wkońcu „szpiegiem bożym", jak go trafnie nazwała jedna z przyjaciółek. Gdy potrzeba — jest płaski, kurczy się, uśmiecha, „podaje łapkę", ale zawsze dociera do celu, bodaj kosztem całkowitego zniszczenia człowieka, który był mu winien „prawdę". Kiedyś, mówiąc o nim, Marja słusznie wyraziła się, że wszyscy fanatycy sprawiedliwości są prowokacyjnie niesprawiedliwi.

Etzel bardzo dobrze zdaje sobie sprawę z duchowej mocy Kerkhovena. Uwielbia go za nią i nienawidzi. Zetknięcie się dwu tak biegunowo różnych, a zarazem — tak jednakowo silnych jednostek — musi powodować ścieranie się nieustanne, zacięte i tembardziej uparte, że jedna ze stron nie stawia oporu, a druga czuje, że ją przejrzano nawylot.

„Zimny żar", bijący od Etzela działa wkońcu, jak kuszący jad: Marja pada mu w ramiona. Motywuje się niechęć, jaką zawsze żywiła do młodego człowieka. Całą mocą odpychała przecież wszystko, coby ją mogło oderwać od męża, mimo, że odchodził od niej coraz dalej. Przepaść, która w takim stanie ducha pociąga w siebie musi się równać otchłani. Gdy już wszyscy troje stoją nad jej skrajem — doktór uświadamia sobie sytuację.

Początkowo cierpi straszliwie, że zdradzono jego ślepe zaufanie. Ale jest to tylko chwila słabości. Kerkhoven wie: „Istnieje jedna tylko wina, mianowicie wina człowieka wobec siebie samego. Zmazać ją można jedynie przez znalezienie nowej formy duszy, a jest to proces mający charakter śmiertelnej choroby. Niewielu wychodzi z niej cało".

Żona była „wtopiona" w niego. Stali się przecież jedną, nierozerwalną istotą. Pomiędzy nimi nie mogło być nawet mowy o przebaczeniu, które niweczy i bezcześci miłość. Jakżeby się to mogło stać, żeby on, który uratował tyle ludzi obcych — miał zniszczyć najbliższego sobie człowieka?

I zaco? Wiedział przecież najpewniej to jedno: Marja była jasna i czysta.

Daleko odbiegliśmy od czasów, kiedy mierzono moralną wartość kobiety ilością mężczyzn, z jakiemi się zetknęła: jeśli ich było kilku — potępiano ją bezapelacyjnie, lub, co gorsza, rozgrzeszano z tym smakowitym chichotem, który jest prostytuowaniem śmiechu.

Dziś, gdy nareszcie ocenia się człowieka według jego postawy wobec ludzi i życia — owa wczorajsza moralność, która paczyła tyle pokoleń, leży w gruzach, u stóp współczesności i przypomina się tylko dlatego, że w ogólnem przebudowywaniu świata, nie zdołano jej dotychczas całkowicie uprzątnąć.

Marja Milkiewiczowa

Walka z krzywdą człowieka i obywatela jest naczelnem zadaniem „Epoki".

WIEŚ BEZ LEKARZA

Wieś nasza jest niemal pozbawiona opieki lekarskiej. Na 10.600 lekarzy zaledwie 10.4% przypada na wieś, przyczem stosunki pod tym względem panują wprost niesłychane. W województwach centralnych 8,9% lekarzy praktykuje na wsi, przyczem na jednego przypada 21 tys. mieszkańców; w woj. zachodnich — lekarzy 14,3% i na jednego 23 tys. mieszkańców. Najlepiej zatem jest stosunkowo w woj. zachodnich, ale gdyby ten sam odsetek ludności przypadał na jednego lekarza naprz. w Warszawie, to okazałoby się, że powinnoby ich być tylko 86, a w rzeczywistości jest ich 2345, t. j. 27 razy więcej. Ale ludność miejska leczy się chętnie (zwłaszcza pod tym względem celują Żydzi). Pozatem ludność ta ma Kasy Chorych, które na wsi wprowadzono jedynie w woj. zachodnich w stosunku do służby folwarcznej, stanowiącej znikomy odsetek ludności wiejskiej wogóle.

Nie należy też mniemać, aby lekarzom na wsi osiadłym miało się dobrze materjalnie powodzić. Skutkiem nadmiernej liczby lekarzy w miastach, na wsi osiadają przeważnie młodzi, aby po paru latach przy pierwszej nadarzającej się możliwości przenieść się do miasta, klijentelę ich bowiem stanowi ne tyle włościaństwo, ile miejscowa inteligencja, — nauczycielstwo, duchowieństwo i ziemiaństwo, włościanin zaś jest stosunkowo rzadko widzianym pacjentem.

Ludzie, nie znajacy wsi, wręcz wierzyć nie chcą, aby naprawdę mogły się tam dziać rzeczy, przypominające mroki średniowiecza. Dotyczy to zwłaszcza porodu. Wystarczy przytoczyć owe potrząsania położnic, wieszania głową na dół, siadanie na brzuchu, nie mówiąc o tak niewinnych stosunkowo środkach, jak zamawianie, okadzanie, odczynianie uroków i t. p. zabiegach.

Pomoc akuszeryjna jest na wsi równie niedostateczna, jak lekarska. W Polsce jest wprawdzie 9.554 akuszerek, ale 13,6% ogólnej ich liczby przypada na samą Warszawę, na wsi osiada ich nader mało, trochę zaledwie więcej, aniżeli lekarzy. Pomoc akuszeryjną natomiast niosą różne babki i kumoszki, wierzące święcie w rozmaite niezawodne środki i leki znachorskie

Lud wiejski nie lubi się leczyć, zwłaszcza zaś nie znosi opłaty za poradę lekarską, zdaje mu się bowiem, że lekarz bierze pieniądze za „nic". Za lekarstwo chętniej zapłaci bo wzamian otrzymuje coś, co już można wziąć w rękę.

Porada mogłaby być bezpłatna, a zrobić to łatwo, trzeba tylko chcieć. Mianowicie Sejmiki na wniosek starostw z łatwością uchwalą niewielką opłatę „pogłówną", naprz. po złotemu od mieszkańca. Powstanie stąd suma 23 milj. zł., czyli 80 tys. zł. w przecięciu na powiat. Za te pieniadze bardzo łatwo zaangażować 10 lekarzy i tyleż akuszerek, którzy obowiązani będą mieszkać na wsi i udzielać porad bezpłatnie, za co otrzymają wynagrodzenie w sumie 6 tys. zł. rocznie dla lekarza i 2 tys. dla akuszerki. Mamy tyle bezrobotnych młodych lekarzy, że chętni powinni się znaleźć, a przecie blisko trzecia ich część opuści miasta, gdzie ich jest za dużo.

Z. Kmita

PRZEGLĄD GOSPODARCZY

Tegoroczna światowa produkcja czterech głównych zbóż (pszenicy, żyta, jęczmienia i owsa), jest o 8.5% większa od zeszłorocznej i około 3% większa od średniej pięciolecia 1926 — 1930 W szczególności światowy zbiór żyta był w roku bieżącym większy o 22% od zeszłorocznego, jęczmienia o 18% większy, owsa o 12% większy.

Ze względu na wzajemną zdolność zastępczą wszystkich czterech zbóż, zwiększenie produkcji nawet jednego z nich wywiera wpływ na konjunkturę pozostałych. W bieżacym roku zwiększenie nastąpiło w zakresie całej produkcji i dlatego rynek znajduje się pod znakiem ustawicznego spadku cen.

Najważniejszem zbożem, ze względu na ilość produkcji, a także ze względu na wielkie obroty handlowe, jest pszenica, która wywiera decydujący wpływ na cały rynek zbożowy. Należy stwierdzić, że nawet przy małej podaży żyta, owsa i jęczmienia, ceny ich na rynku światowym ulegną derucie, o ile nastąpi brak harmonji miedzy podażą i popytem na pszenicę. Dlatego też mówiąc o światowym rynku zbożowym, wystarczy przedstawić sytuację rynku pszenicznego.

Tegoroczne zbiory pszenicy wynoszą 854 milj. q., gdy w roku ubiegłym wyrażały się cyfrą 845 milj. q. A zatem okazuje się, że i w zakresie tego zboża produkcja tegoroczna jest większa, aniżeli w roku ubiegłym. Jednakowoż nie wzrost produkcji jest groźnym, ale jego rozmieszczenie.

Dzieląc państwa na eksporterskie, t. zn. posiadające pszenicę na wywóz, oraz importerskie, t. j. posiadające jej niedobór, możemy zorjentować się w rozmiarach światowego obrotu i w zmianach jakie w nim zaszły. Zmiany te są bardzo znaczne. Od szeregu lat mianowicie wszystkie państwa importerskie dokładają wysiłków, aby uniezależnić się od przywozu i osiągnąć samowystarczalność w zakresie zbóż chlebowych, a w szczególności pszenicy. Oczywiście pociągnąć to musi za sobą osłabienie możliwości eksportowych krajów posiadających nadwyżki wywozowe.

Do ostatnich niemal czasów 28% światowego obrotu pszenicą odbierały trzy państwa europejskie, a mianowicie Francja, Niemcy i Włochy. W bieżącym roku Francja posiada 6 milj. q. pszenicy nadwyżki ponad wewnętrzne spożycie; Niemcy osiągnęły conajmniej samowystarczalność, zaś Włochy zmniejszyły swe zapotrzebowanie na pszenicę zagraniczną do ⅓ normalnego przywozu. Jeżeli się zważy, że cały szereg krajów, jak Hiszpanja, Portugalja, Holandja, Szwajcarja, Estonja, Szwecja, Finlandja i Czechosłowacja osiągnął w tym roku zbiory tak duże, że nie mają one porównania ze zbiorami w latach przeszłych, a Austrja i Belgja posiadają zbiory jedne z najwyższych w ciągu ostatniego 20-lecia to można dojść do przekonania, że rynki odbiorcze skurczyły się bardzo.

Zwiększenia produkcji w wymienionych krajach nie wyrównywują straty krajów, dotkniętych klęską rdzy, a więc Polski i krajów południowo - wschodniej Europy, albowiem różnica na korzyść produkcji wynosi, pomimo wszystko, ponad 25 milj. q.

Tendencja do osiągnięcia jak największej niezależności w zakresie pszenicy wyraźnie w dalszym ciągu wzrasta, czego jaskrawym dowodem jest zwiększenie w tej jesieni areału pszenicy w Anglji o 300 000 akrów.

Teoretycznie obliczają, że kraje eksportowe posiadają w bieżącym roku na wywóz 350 milj. q., z czego 196 milj. z nowych zbiorów i 154 milj. ze starych zapasów. Zapotrzebowanie krajów importerskich całego świata przy największym optymizmie można określić na conajwyżej 170 milj. q. Zestawienie przytoczonych cyfr wykazuje, że do starych zapasów rok bieżący dorzuci jeszcze 26 milj., zwiększając światowe zapasy do takiej ilości, że gdyby nawet w roku przyszłym żaden z krajów eksporterskich nie posiadał na wywóz nawet jednego q. to i tak zapasy światowe nie zostaną wykupione, ponieważ przewyższają zdolność konsumcyjną rynków odbiorczych.

Naturalnie do suchego rachunku należy dodać jeszcze okoliczności wtórne, a niezwykle ważne, jak powszechne zubożenie i związane z tem zmniejszanie spożycia. Znawcy twierdzą, że np. w Niemczech spożycie pszenicy w roku bieżącym w stosunku do spożycia zeszłorocznego zmalało o 30%; również zaznacza się to w silnem zmniejszeniu załadowań okrętowych, szczególnie do kra-

jów poza-europejskich, wśród których Chiny odgrywały szczególną dużą rolę. Sytuacja gospodarcza w tym kraju uzasadnia całkowicie zmniejszenie jego zdolności nabywczej.

**
*

Jakże wygląda sytuacja w krajach eksporterskich i jak usiłują one dostosować się do zmniejszających się z roku na rok możliwości wywozowych?

Próbę takiego przystosowania widzimy jedynie w Stanach Zjednoczonych, które zmniejszyły przestrzeń zajętą pod uprawę pszenicy, ale które nie potrafiły dotąd uszczuplić olbrzymich stoków, będących w posiadaniu Federal Farm Boardu. Zabiegi Stanów Zjednoczonych nie mogą jednak wywrzeć najmniejszego wpływu na rynek światowy, ponieważ ze względu na cenę pszenicy amerykańskiej, potęgowanej ustawicznie kosztami przechowania starych zapasów oraz poziomem dolara, kraj ten wypadł dość dawno z kręgu eksporterów i niemal nie wywozi, natomiast jest stałą groźbą dla rynku, ponieważ każdej chwili może zdecydować się na rzucenie posiadanych zapasów po cenach dumpingowych.

Krajem, odgrywającym pierwsze skrzypce w eksporcie, jest obecnie Kanada, której uchwytne zapasy wzrastają co tydzień mniej więcej o cztery miljony buszli, co stanowi dowód, że farmerzy kanadyjscy zmuszeni są, na skutek braku gotówki, do rzucania posiadanych zapasów na rynek po każdej cenie. Jeżeli dodamy do tego bankructwo pool'u prowincji Manidowa, wówczas zarysuje się przed nami katastrofalny stan rolnictwa tego kraju.

Eksporterzy południowej półkuli, to jest Argentyna i Australja, zwiększają obszar zasiewów, nie licząc się zupełnie z możliwościami zbytu.

Zresztą należy pamiętać, że kraje rolnicze z trudem tylko mogą ograniczać produkcję zbożową, ponieważ w większości wypadków wywóz zboża decyduje o ich bilansie handlowym.

Reasumując wszystko powyższe dochodzimy do przekonania, że przy ograniczaniu pojemności rynków odbiorczych nie widać dotąd żadnej organizacji wywozu zboża. Przedłużanie takiego stanu rzeczy może doprowadzić do zupełnego chaosu i dalszej deruty cen.

Widocznie poszczególne państwa zaczynają sobie zdawać sprawę z tego niebezpieczeństwa, gdyż powraca się do dawnej tezy polskiej, która w 1931 roku podczas konferencji londyńskiej skupiła wszystkie kraje eksporterskie, za wyjątkiem Stanów Zjednoczonych, które oświadczyły, że konstytucja ich nie pozwala na wprowadzenie jakichkolwiek utrudnień wywozowych, a więc uniemożliwia zorganizowanie eksportu na zasadzie międzynarodowego porozumienia. Ostatnio Argentyna wysunęła propozycję zawarcia takiego porozumienia, do którego miałyby przystąpić Australja, Kanada i Stany Zjednoczone. Zanim jednak takie porozumienie nastąpi, kraje eksporterskie nie zmniejszają swej produkcji, jakby przygotowując się do stworzenia dla siebie odpowiednich podstaw ilościowych przy ewentualnej przyszłej repartycji całego światowego kontyngentu wywozowego.

Horoskopy na najbliższą przyszłość nie przedstawiają się różowo, tembardziej, że następuje ustawiczna zniżka cen światowych.

**
*

Produkcja zbożowa w Polsce zmniejszyła się zwłaszcza w zakresie pszenicy, której zebrano o 32.8% mniej niż w roku ubiegłym. Pozostałe trzy zboża przyniosły pewną zwyżkę. Ceny, jakie otrzymują rolnicy podczas tej jesieni, wskazują na dalsze pogłębianie się kryzysu, gdyż w sposób nieznaczny w porównaniu do cen z przed roku zwyżkowały tylko ceny pszenicy (z 22.28 zł. za 100 kg. do 24.27 zł.). Wszystkie inne ziemiopłody i artykuły hodowlane uległy dalszej derucie.

Ponieważ Polska jest krajem wywozowym w zakresie płodów rolnych, a więc uzależnionym od cen światowych, nie można liczyć, iż w najbliższym czasie zabiegi polityki rolnej zdołają doprowadzić do zwyżki cen na artykuły rolnicze.

Zygmunt Rusinek

PRZEGLĄD POLITYCZNY

W wyborach amerykańskich partja demokratyczna osiągnęła wielkie zwycięstwo, które po amerykańsku zwie się niebywałem i rekordowym, choć takie same sukcesy już kilkakrotnie wydarzały się w dziejach Stanów Zjednoczonych. Demokraci zdobyli większość w kongresie, t. j. w izbie reprezentantów i w senacie, a ich kandydat na prezydenta Roosevelt ma zapewniony wybór w zgromadzeniu elektorów.

Mało zwrócono uwagi na dwóch innych kandydatów na prezydenta — socjalistycznego i komunistycznego. Ten ostani William Z. Foster zebrał tym razem dwa razy większą ilość głosów, niż poprzednio. Nazywają go „Fordem ruchu robotniczego".

W „New Republic" nowojorskiej Georges Soule kreśli sylwetkę tego nieznanego Europie działacza. I tak go charakteryzuje:

„Jest to typ dużego Jankesa, chudy, o szerokich ramionach i ruchliwej twarzy. Ma on trzy cechy zasadnicze. Pierwsza — to bujność życia, swoista „oszczędność", co nie znaczy, że odkłada pieniądze. Poprostu, nie potrzebuje on pieniędzy i drwi, zdaje się, z nich, o ile ma na sobie ubranie i na opłacenie najbliższego posiłku. Jestem pewien, że nie może on zrozumieć, w jaki sposób ktoś o zdrowym rozsądku może potrzebować dużo pieniędzy. Druga jego cecha — to naiwna wiara w realizację rzeczy niemożliwych. Foster wierzy, że w Ameryce indywidualistycznej, mającej instynkt i pożądanie własności i w najwyższym stopniu burżuazyjnej, robotnicy będą w stanie zdobyć władzę... Wreszcie trzecia jego cecha czyni z niego osobę podobną do Forda. Idąc do celu, ucieka się on do niewyczerpanego źródła praktycznej pomysłowości."

Nie wiemy nic w Europie o tym działaczu. Za to entuzjazmuje się u nas ten i ów t. zw. amerykańskim systemem wyborów prezydenta, który świeżo w naszych oczach wykazał się najwyższem natężeniem demagogji, o jakiem w normalnych wyborach europejskich nie mamy pojęcia.

Równie, zdaje się, fałszywe, okazały się koncepcje europejskie, usiłujące rozróżnić „demokratów" od „republikanów" przez przypisaniu pierwszym przychylnego dla Europy stosunku. Już po wyborach kandydat demokratów na prezesa senackiej komisji do spraw zagranicznych p. Swanson odebrał Europejczykom iluzję, oświadczając: „Naród amerykański nie chce słyszeć o złagodzeniu opłat celnych dla cudzoziemców, którzy je wprowadzają u siebie. Inne narody znajdują się zarówno pod względem finansowym, jak i przemysłowym w lepszej sytuacji, niż Stany Zjednoczone."

O ile za tem oświadczeniem kryje się jakaś treść, a tak jest napewno, to widać, że zarówno w sprawie murów celnych, jak i długów wojennych zwycięscy demokraci są równie twardzi, jak pokonani przez nich republikanie.

Państwa europejskie sznurkiem pociągnęły do Waszyngtonu z „podaniami" o odroczenie grudniowej raty pożyczek wojennych. To samo zjawisko obserwowalibyśmy bez względu na wynik wyborów.

**
*

Nauka na usługach polityki, prawo na usługach sfer rządzących — to rzeczy nie nowe. Kto ich nie zna? Nie sięgając głębiej lub dalej niż słynne „wyjaśnienia Senatu rządzącego" w carskiej Rosji takie — interpretacje towarzyszą zawsze walkom o wolność i prawo. Obserwujemy takie właśnie zjawisko obecnie w Niemczech.

Zjawili się tam profesorowie prawa, którzy „idą na rękę" pomysłom von Papena. Mimowoli uśmiechnąć się trzeba, widząc, jak to od wschodu ciągną takie wiatry na zachód. Ale trzeba przyznać, że takich profesorów prawa nie jest dotychczas wiele w Rzeszy Niemieckiej. Wyliczają ich dotychczas na palcach. Pisze o nich p. Bretholz w „Berliner Tageblatt"-cie z dn. 12 b. m. w artykule p. t. „Polityczni profesorowie". Trzej z nich oddali się do dyspozycji rządu, aby w Trybunale Stanu w Lipsku uzasadnić papenowski zamach

na konstytucję, usunięcie legalnego rządu pruskiego. A więc pan profesor Carl Schmitt wyłożył teorję o „zgodnej z sytuacją interpretacji konstytucji", a inny p. profesor Jacobi przedstawił teorję o „idei władzy", zawartej w konstytucji.

Do trzech panów, o których p. Bretholz pisze, iż reprezentują „przystosowaną do potrzeb procesującego się rządu, naukę o prawie państwowem, która niema nic wspólnego z wolną nauką", przyłączył się jeszcze wykładający prawo państwowe w starodawnym Heidelbergu dziedzic sławnego nazwiska, profesor Walter Jellinek.

Ten poszedł najdalej, bo przedstawił na usługi von Papena cały projekt złamania konstyucji w ramach istniejących ustaw.

Jak wiadomo von Papen chciałby, (ale nie może) zmienić konstytucję, skasować parlamentaryzm, obciąć prawa wyborcze i t. p.

Jak to zrobić, skoro ani w drodze plebiscytu nie można zdobyć większości dla takich pomysłów, ani uzyskać ⅔ w Reichstagu. Prof. Jellinek znalazł sposób. Mówi on tak: „kto milczy, ten zgadza się, a więc przy plebiscycie głosy wstrzymujących się trzeba doliczyć do głosujących za zmianą konstytucji, a przy wyborach głosy absentujących się należy zapisać na rzecz stronnictwa rządowego".

A żeby ktoś nie sądził, że profesor Jellinek — junjor schodzi z płaszczyzny prawa, powołuje się on na... regulamin sejmu saskiego, w którym powiedziano: „kto głosuje „tak" ten... siedzi, kto głosuje „nie" musi wstać". A więc — mówi prof. Jellinek — prawodawcy uważają bierność za wyraz twierdzenia, zgody. Zróbmy stąd krok do plebiscytu i głosowań do parlamentu i będziemy mieli „mobilizację niegłosujących" na usługi rządu.

Tak wygląda „wiedza prawnicza" na usługach władzy.

Publicysta niemiecki, który ten incydent referuje, pyta: „Czyż tak nisko upadła wiedza niemiecka, aby jej przedstawiciel mógł uzasadniać każde naruszenie i złamanie prawa?"

Istotnie, prof. Jellinek wraz z 3 ekspertami z Trybunału lipskiego jest dotychczas odosobniony. Sam kanclerz, którego świeżo w Dreźnie pytano, czy zamierza przeprowadzić rewizję konstytucji, łamiąc prawo, odpowiedział przecząco. Ale czy uważa Jellinkową wykładnię za złamanie prawa, czy też tylko za „interpretację", narazie go nie pytano.

***

O Hiszpanji, wiemy b. mało. Jeżeli gdzie dochodzi do ekscesów, zajść pomiędzy grupkami klerykalnemi a ludem, niszczenia klasztorów, lub siedzib byłych grandów, owszem, o tem pisze się dużo. Ale o tem, że rząd hiszpański oświeca trzymany przez setki lat w ciemnocie lud, że organizuje wyprawy oświatowe wgłąb wsi hiszpańskiej, możemy dowiedzieć się np. z „Frankfurter Zeitung", która prowadzi stałą rubrykę kroniki hiszpańskiej.

W N-rze z d. 11.11 w liście korespondenta madryckiego tej gazety czytamy m. in.:

— Są w Hiszpanji odcięte od komunikacji miejscowości, których ludność żyje od setek lat bez stosunków ze światem i jego rozwojem kulturalnym. W większości tych wsi i osad niema dotąd szkół. Młoda republika tworzy tam obecnie tysiące ośrodków oświatowych. A jednocześnie rząd wysłał misje pedagogiczne, które nie mają być surogatem szkoły, lecz które do tego głuchego bytowania wnieść mają powiew ruchu duchowego, pojęć postępu technicznego i odblask sztuki. Uzbrojone w gramofony i aparaty kinowe oddziały pionierów oświaty idą po kraju, czytają ludności na głos utwory mistrzów słowa, grają im muzykę klasyczną i na ekranie pokazują co to jest parowiec i samolot. Słuchacze i widzowie patrzą na to, jak na cud. Głód wiedzy budzi się. Obecnie będą jeszcze zorganizowane małe muzea wędrowne dla zapoznania tych zapadłych kątów ze sztuką plastyczną".

Tak uczy republika hiszpańska swoich obywateli, co to jest wolność i jakie są jej owoce.

Prasa Italji z d. 8 b. m. zapełnia całe szpalty artykułami i informacjami o amnestji. Mniej więcej na jedno kopyto wszędzie to samo. W „La Tribuna Iclea Nazionale", czytamy wielki nagłówek: „L'atto di clemenza piu anipio di tutte le precedenti amnistie corona la celebrazione del Primo De cennale".

(Akt łaski, szerszy niż wszystkie poprzednie amnestje, wieńczy obchód uroczysty Pierwszego Dziesięciolecia).

Sięgamy do cyfr, które ilustrują ten „akt najszerszy" i czytamy, że uzyska wolność od 15.000 do 20.000 więźniów kryminalnych; liczba politycznych, którzy ujrzą słońce wolności (zarówno więźniów, jak zesłańców na wyspy Liparyjskie) wyniesie ogółem 1086.

Cyfry zwężają nieco widok tej najszerszej amnestji, jaka kiedykolwiek była. Rozumiemy, że określenie jest nieco przesadne, utrzymane w stylu — celebracji dziesięciolecia Faszyzmu.

***

Czyż jest kraj bardziej spokojny, niż Szwajcarja? A jednak — krew lała się na ulicach Genewy, dynamit pękał w Lozannie, a żołnierze śpiewali Międzynarodówkę... Federacja Helwecka jest poruszona do głębi tragedją, która rozegrała się na ulicach Genewy. Zainaugurowali ją jacyś domorośli faszyści, żądając oddania pod sąd dwu radnych za to, że są socjalistami. Rozdrażnili lud, z pod spokojnej nawierzchni wypłynęły temperamenty, wybuchło rozgoryczenie szerokich mas, którym źle dzieje się.

Sł. Gr.

LISTY DO „EPOKI.

I.

W n-rze 6-tym „Epoki", pisał p. Widz o farsie „Hulla ben Bulla" wystawionej w Teatrze Letnim. Wydrwił to rzeczywiście „tępe błazeństwo" i nadmienił: „A może dyrekcja Teatru Letniego nie myli się. Może to będzie bawiło publiczność?"

Cóż się okazało? Publiczność bawi się doskonale. Dyrekcja nie omyliła się, licząc na tę kategorję publiczności, która na tego rodzaju sztukach może się bawić. Otóż teatr, traktowany, jako jedynie impreza handlowa, kalkuluje tak samo, jak każdy kupiec: czy towar będzie miał pokup. Handlowa strona jest tu w porządku i dyrekcji handlującej towarem teatralnym bez „górniejszych" ambicji, nic tu zarzucić nie można. Chyba, że bawi się w piękne słowa o swej „misji kulturalnej". Takie słowa słyszy się często i — oczywiście — jest to tylko zawracanie głowy.

Co do publiczności... Człowiek o pewnym poziomie umysłowym i kulturalnym nie może sobie wyobrazić, że jakaś farsa, wyjątkowo głupia i tępa, może ludzi doskonale bawić. Często siedzimy w teatrze, znudzeni i pełni niesmaku, podziwiając, jak publiczność zanosi się od śmiechu. Z czego się śmieje?

Co ją cieszy? Jest to tajemnica niższego gatunku poczucia komizmu. Kto z nas może się śmiać, naprzykład, w cyrku, kiedy jeden klown bije drugiego po twarzy? A przecież galerja wyje wtedy z radości.

Naturalnie tego rodzaju poczucie komizmu jest związane z niskim poziomem kultury umysłowej i duchowej.

I niema się co łudzić: taka jest większość społeczeństwa.

Komu chodzi jedynie o interes, dogadza smakowi tej większości. I byłby w porządku, gdyby nie opowiadał o swojej pracy „wychowawczej". (!)

Poziom większości jest przygnębiający, co stwierdzić można również, a może najłatwiej, kiedy się widzi, co ludzi bawi. Powodzenie takiej farsy, jak „Hulla ben Bulla", jest wysoce pouczające, chociaż niebardzo przyjemne...

Warszawa. *Dr. M. L.*

II.

Urywki z listów zamieszczone w poprzednim n-rze „Epoki", są bardzo charakterystyczne. Ktoś uważa „Epokę" za „kryptosanacyjną", inny za pismo antyrządowe, jeszcze inny pomawia ją o „tendencje bolszewickie" (!). Takie właśnie opinje wśród czytelników bezkrytycznych musi budzić niezależne pismo, które nie wywiesiło szyldu partyjnego. Dla wielu czytelników charakter pisma jest tylko wtedy wyraźny, kiedy w piśmie wyczytają jeden z dwóch okrzyków: „Precz z rządem"! albo „Niech żyje rząd!" Wtedy czytelnicy tacy uznają, że pismo „ma oblicze". Można wypowiedzieć się niedwuznacznie w stu sprawach politycznych, społecznych, kulturalnych, ale jeżeli jednego z tych dwóch okrzyków braknie, pismo nie ma „oblicza".

Piszę jako jeden z tych czytelników, którzy są zadowoleni, że takich dowodów „oblicza" w „Epoce" niema.

Kraków. *J. Kozłowski*

ODPOWIEDZI REDAKCJI,

P. Wandzie R-skiej w Łodzi. Zaznaczaliśmy już niejednokrotnie, iż należy z wielką ostrożnością odnosić się zarówno do teoryj na temat przyczyn kryzysu, jak i do zbawiennych środków jego naprawy. Ogromna, o światowej skali, rozpiętość przesilenia gospodarczego, wymaga specjalnego przygotowania, którem, niestety, nasi „uzdrawiacze" ekonomiczni najczęściej nie mogą się pochlubić. Rozprawy, jakie nam Sz. Pani poleca, znamy już. Naszem zdaniem nie zawierają one nic szczególnie godnego uwagi, poza wzajemną sprzecznością poszczególnych założeń i wniosków.

P. Władysławowi Sz. w Warszawie. Z pięknej rozprawy Sz. Pana o Ludwiku Kondratowiczu nie możemy, niestety, skorzystać. Zbyt oderwana od współczesnej rzeczywistości, która dostarcza nam ogromu tematów bardziej doniosłych, o znaczeniu epokowem, a dotychczas niewyzyskanych należycie, lub pomijanych milczeniem.

P. Stefanji M. w Warszawie. Mimo, iż nie zajmujemy się oceną poezyj, jednak tym razem, na szczególną prośbę Sz. Pani, zrobimy wyjątek, zważywszy, iż uwagi nasze mieć będą charakter niejako humanitarny. W poezjach swych, idąc za przykładem Jasnorzewskiej, opiewa Pani szczęście „dzieci nieurodzonych" i błogosławi Pani wszystkie niedoszłe matki. Apoteza poronień jest dla Pani potrzebą, obroną, antidotum przeciw stanom skrajnego przygnębienia, jakie doświadczyła Pani po spełnieniu obrzędu przerwania ciąży. Niemniej jednak względy te nie mogą być usprawiedliwieniem wniosków, do jakich dochodzi Pani, wniosków chorobliwych, zastraszających. W wierszach Pani poronienie przestaje być smutną koniecznością naszych czasów, a staje się szczytnem „poświęceniem", cnotą... Poezje Pani, obok poprawności formy — są złe i nie powinny ukazać się w druku. Jeśli były one lekarstwem na Pani cierpienia psychiczne, — niechże Pani uszanuje ich intymność i nie obnosi się po świecie z przejawami swej skrajnej niemocy duchowej, pod pozorem, iż nadała jej Pani artystyczną formę. Jakże często forma nie usprawiedliwia treści!

Jedna jeszcze uwaga. Któż upoważnił Panią do przemawiania w imieniu wszystkich matek niedoszłych? Wkłada im pani w usta całą masę wykrzykników, których treść, według wszelkiego prawdopodobieństwa, jest indywidualnym Pani przejawem.

P. Henrykowi Ł. (Nancy — Francja). Za miłe słowa dziękujemy. Z artykułu Sz. Pana nie będziemy, niestety, mogli skorzystać, bo chociaż los polskich robotników we Francji żywo nas interesuje, jednak materjał podany przez Sz. Pana przedstawia się ubogo i zbyt fragmentarycznie. Prosimy o dalsze próby. Sprawy poruszane przez Pana zawsze są żywotne, a sumienniejsze opracowanie przedmiotu zwiększy wartość pracy pańskiej, jako dokumentu. Co do formy artykułu, wbrew przypuszczeniom Sz. Pana, nie mamy żadnych zastrzeżeń. Forma zupełnie poprawna, — więcej troski o treść!

P. Łukaszowi M. w Puławach. Nawiązując do jednego z artykułów, zamieszczonego w poprzednich numerach „Epoki", twierdzi Sz. Pan, iż gospodarka socjalistycznych władz miejskich Wiednia doprowadziła Austrję do bankructwa. Nie, proszę Pana, magistrat nie ponosi odpowiedzialności za politykę rządu. Maleńka pomyłka wkradła się w rozumowanie Sz. Pana. Magistrat m. Wiednia — to coś innego, niż rząd austryjacki.

Pan L. L. w Warszawie. Czyż mamy tłomaczyć czytelnikom „Epoki", że studenckie hece antyżydowskie są barbarzyństwem, że bicie Żydów jest huligaństwem? *Nasi* czytelnicy nie potrzebują już takiego uświadamiania. Samo się też przez się rozumie, że studenckie „wyczyny" antysemickie są jednakowo wstrętne, bez względu na to, czy ofiarą tych „wyczynów" pada Żyd zasymilowany, czy Żyd-narodowiec. Zamieściliśmy ów list w „Epoce", jako dokument szczególnie głębokiego rozgoryczenia, które w tym, określonym, wypadku miało specjalne powody poza powodami natury zasadniczej.

TREŚĆ NUMERU:

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: WARSZAWA, UL. OKÓLNIK 11 — TEL. 285-52 — KONTO P.K.O. 26 630

REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 17 do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się
PRENUMERATA kwartalnie z przesyłką zł. 6.— zagranicą kwartalnie zł. 7.50 — numer pojedyńczy 60 groszy.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40

REDAKTOR I WYDAWCA: JÓZEF WĄSOWSKI Nr. 2780 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka Warszawa, Ordynacka 3